

03/2020



EQUESTRIA
TIMES

37

*Fascynujące życie
cudzym kosztem*

Pasożyty według Gray

Kolorowe nieloty

Wywiad z Pingwinową

Mitosny światłocień

Komiksowe refleksje Malvagia

Panie, panowie, chłopcy, dziewczęta, koty, psy i inne żywe stworzonka! W tych przedziwnych czasach, gdy tryb życia piwniczaka doczekał się aprobaty społecznej, przychodzimy do Was z kolejnym numerem naszej gazetki, aby nieco urozmaicić ten czas wypełniony oglądaniem seriali, sprzątaniami szaf i zaległymi remontami.

W tym wydaniu przeprowadziliśmy nie jedną, ale aż dwie rozmowy z fandomowymi rysowniczkami, Cahan już ósmy raz przeanalizowała dla Was nauki płynące z serialu, a Malvagio przybliżył nieco kolejną historię z komiksów IDW. Ponadto tym razem będziecie mogli zapoznać się nieco ze „studenckim trybem życia” stworzonek wewnątrz nas w artykule autorstwa Gray, który został poświęcony pasożytom. Zachęcam też cieplutko do zapoznania się z komiksem wykonanym przez Porcelanowy Okular, gdzie na jednym z kadrów dobrze ukazała moje emocje w ostatnim czasie. Nawet za dobrze...

Miłego czytania, Misiaczki, i trzymajcie się na tej kwarantannie!

>Moon



Redaktor Naczelny – Cahan

Redaktorzy wicenaczelni – Moonlight, Solaris

Redaktorzy – Gray Picture, Ghatorr, Coldwind, Victoria Luna, Malvagio

Korektorzy – Magda B, Midday Shine, SoulsTornado

Dział techniczny – Macter, Porcelanowy Okular, Sosna, Catkitty

My Little Pony Friendship is Magic i Hasbro są zastrzeżonymi znakami towarowymi Hasbro Inc.

Redakcja Equestria Times nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam zamieszczonych w magazynie.

Spis treści

PUBLICYSTYKA

Po drugiej stronie lustra, czyli C-CO ZROBILI?!	5
Ćwiczenia młodego pisarza	8
Wywiad z Pingwinową	11
Nauki płynące z serialu: Sezon ósmy	15
Wywiad z Victorią Luna	22
Relacja ze Snowfallu	28

POZOSTAŁE

Proszę się ogarnąć, Disney	38
Chroma Squad Recenzja	40
Ulubione pasożyty Gray	42
Ptaki nocy (i Fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn) Recenzja	45

ARTYSTYCZNY MIX

Daring Do	50
To oznacza wojnę	51
Królewski ból	52
Twilight popełnia królobójstwo	53
Götterdämmerung	54



facebook mlppolska

Wykorzystano prace autorów:
Monika Franek

E for glorious EQUESTRIA



Największy w Polsce serwis
o tematyce My Little Pony

 nowinki

 fanarty

 fanfiki

 felietony

 i wiele innych



<http://www.fge.com.pl/>



Po drugiej stronie lustra, czyli C-CO ZROBILI?!

Hej, hej, ludziska, z tej strony Malv z kolejną recenzją. Zgodnie z zapowiedzią z poprzedniej, tym razem na warsztat trafia dłuższa historia, rozpisana na cztery zeszyty (numery 17-20). Kucokomiksy wróciły więc do swoich korzeni – i to podwójnie, ponieważ za sterami znów zasiadł duet Price&Cook.

» *Malvagio*

Co takiego upichcili dla czytelników tym razem? Przygodę o isticie epickim wymiarze i zapewniam, iż nie są to przesadzone słowa. Została ona nazwana „Reflections”; będę się tutaj posługiwał angielskim tytułem, ponieważ w mojej opinii lepiej oddaje wszystkie niuanse: komiks traktuje nie tylko o odbiciach, ale i o refleksjach postaci na różne tematy. Wracając jednak do samej historii – zaczyna się ona tajemniczym zniknięciem Celestii, która na oczach Luny przechodzi przez magiczne zwierciadło i zamyka portal za sobą. Twilight i spółka zostają wezwane, początkowo jedynie, by rozwikłać zagadkę tajemniczego lustra, dzieła Star Swirla Brodatego. Ostatecznie muszą zaś uratować nie jeden, a dwa światy – swój własny oraz „Lustrzaną Equestrię”, w której rządy sprawuje Dobry Król Sombra, a zagrożenie stanowią nikczemne odbicia Królewskich Sióstr. Wydarzenia obejmują jednak też inny, o wiele bardziej osobisty wymiar...

Jest to, oczywiście, opis bardzo skrótowy, po którym zdawać by się mogło, iż na czytelnika czeka prawdziwie dzika karuzela akcji. Nic bardziej myl-

nego! Historia skupia się raczej na spokojniejszych scenach, czy to refleksjach na temat przeznaczenia i bycia dobrym władcą, czy retrospekcjach ukazujących młodość Celestii, wspólne wyprawy ze Star Swirlem oraz odległe początki problemów, z którymi bohaterowie muszą mierzyć się obecnie. Nie znaczy to, że komiks pozbawiony jest całkowicie bardziej dynamicznych scen – oczywiście musi dojść do walki ze Złymi Siostrami, a gdy to następuje, rysunki Andy’ego Price’a nie tylko nie zawodzą (jak zawsze zresztą!), ale też po raz kolejny pokazują, iż komiksowi twórcy mogą pozwolić sobie na więcej od serialowych. Oprócz tego naprawdę niewiele więcej nowego można o nich powiedzieć – utrzymują po prostu swój stały, niezmiernie wysoki poziom, do którego rysownik zdążył już czytelników przyzwyczaić i nie przestaje ich rozpieszczać. Przy tej okazji warto nadmienić, iż „Reflections” udowadnia, że zasada pozwalania sobie na więcej obejmuje też scenarzystów... ale o tym więcej za chwilę, w pierwszej kolejności należy przybliżyć nieco postaci.

Katie Cook dotrzymuje Price’owi kroku i również nie obniża lotów. Bohaterowie wypadają wiarygodnie i zostali zarysowani w interesujący sposób – tu na szczególną uwagę zasługuje Star Swirl; ta inkarnacja powstała na długo przed pojawieniem się postaci w serialu, dlatego też znacznie się od niej różni, począwszy od wyglądu, przez pełnioną w Equestrii rolę, a na charakterze kończąc. Dość powiedzieć, że Luna, wspominając go, stwierdza, iż był bardziej podobny do Pinkie niż Twilight.

Star Swirl okazuje się być w gruncie rzeczy lekkoduchem, odrobinę świrniętym staruszką (co wyjaśnia czapkę z dzwoneczkami!), który w zdobywaniu wiedzy ceni mocno aspekt przygody. Porównanie do Pie nie czyni go jednak błaznem – kiedy sytuacja tego wymaga, potrafi zachować się poważnie i odpowiedzialnie... nawet wtedy, gdy musi uczynić to z ciężkim sercem. Osobiście bardzo żałuję, że serialowa kreacja zepchnęła tę komiksową w niebyt.

Najwyższa pora przejść jednak do dania głównego, czyli Celestii – ponieważ to właśnie ona gra w historii pierwsze skrzypce. W „Reflections” więcej światła zostało rzucone na jej przeszłość; czytelnik może dowiedzieć się, jaka była przed tysiącem lat. Przez milenium zmieniło się naprawdę wiele – młoda księżniczka jawi się jako osoba bardziej impulsywna, podejmująca decyzje pod wpływem emocji, a zarazem żądna przygód oraz... podatna na porywy serca. Właśnie tak, Celestia z wzajemnością zakochała się w Dobrym Sombrze – główną osią całej historii jest ich związek i to miałem na myśli, pisząc o pozwalaniu sobie na więcej w kwestii scenariusza; nie wydaje mi się bowiem, by Pani Dnia pozwolono w serialu na taką relację z kimkolwiek. Romans z pewnością nie każdemu przypadnie do gustu – jest utrzymany w bardzo sentymentalnym stylu, ale nie powiedziałbym, by popadał w przesadę. Jego słodycz równoważy niejako gorzkość związanej z nim nieodpowiedzialności – ciągłe podróże do Lustrzanej Equestrii narażają oba światy na niebezpieczeństwo, z którym ostatecznie bohaterowie muszą się zmierzyć w teraźniejszości. Pragnę w tym miejscu zaznaczyć, iż pomimo tego Celestia nie jest przedstawiona jako władczyni nieudolna, komiksowi udało się ustrzec pułapki, w którą zbyt często wpadał serial. Jej nieodpowiedzialne zachowanie nie bierze się znikąd, zostało znakomicie podbudowane. Wspólne wyprawy ze Star Swirlem (nie tylko do świata Dobrego Sombrzy) wydają się posiadać bowiem również głębsze dno – Celestia szuka w ten sposób ucieczki zarówno od stresu i wyobcowania związanego ze sprawowaniem władzy, jak i problemów rodzinnych. Nie należy zapominać, iż retrospekcje sięgają czasów przed



przeistoczeniem się Luny w Nightmare Moon – w komiksie pojawiają się jednak wyraźne sugestie, iż przemiana ta zaczęła już powoli zachodzić, a młodsza siostra odwróciła się od starszej i nie chce z nią utrzymywać kontaktu. Czyż można zatem winić Panią Dnia, iż szukała pociechy w lustrzanym świecie i objęciach ukochanego?

Płynnie przechodząc w ten sposób do jej wybranka – Dobry Sombrza zarysowany został bardzo podobnie do teraźniejszej Celestii. Przedstawiono go jako szlachetnego monarchę (który chyba jednak dojrzał do tej roli wcześniej od niej), potrafiącego udzielić mądrych rad młodej księżniczce Twilight i gotowego do

naprawdę wielkich poświęceń. Nawet wodzony na pokuszenie i przyparty do muru – nie da się ukryć, że sytuacja, w jakiej się znalazł, stała się już dramatyczna – nie porzuca swoich przekonań. Nie jest jednak Garym Stu, znoszenie wszystkich przeciwności nie przychodzi mu bez trudu; brzemień, do dźwigania którego został zmuszony, wyraźnie się na nim odciśka. On również nie mógł całkowicie wyrzec się ukochanej, choć świadomy był ryzyka związanego z jej wizytami, ale nigdy nie pozwolił sobie na skrajną nieodpowiedzialność – podejmowane przez niego środki ostrożności okazały się po prostu niewystarczające (nie da się też ukryć, że większą winę ponosi tu Celestia, jako strona inicjująca kolejne spotkania). Katie Cook nie zawiodła więc także i tutaj, stworzyła postać, której chce się kibicować.

Lustrzane Siostry, jako antagonistki, również zasługują na chwilę – dosłownie – uwagi. Nie można, niestety, uciec od faktu, iż istnieją one właściwie jedynie w opozycji do swoich „normalnych” wersji. Dobrze wypełniają jednak powierzoną im rolę; na pierwszy plan wybija się tutaj starsza alicornka, Luna pełni funkcję bardziej pomocniczą. Celestia jest równie przebiegła, co nikczemna, a jednocześnie zdolna dosłownie do wszystkiego, byle tylko zrealizować swoje zamierzenia. Obie Siostry znajdują wyraźną uciechę w rujnowaniu królestwa Sombrzy, „złoczenie” jest dla nich świetną zabawą – taki dekadenski rys znakomicie do nich pasuje. Summa summarum, również wypadają na plus.

Do tej pory wypowiadałem się w samych superlatywach, ale nawet ten komiks nie mógł unik-

nać żdziebka goryczy w swej słodczy. Pomimo wszystkich zalet wciąż mam wrażenie, iż potencjał Lustrzanej Equestrii nie został wykorzystany w pełni. Niczym złośliwe echo po raz kolejny powraca największa zmora kucykowych przygód – zamknięcie historii w zbyt ciasnych ramach. Tym razem nawet cztery zeszyty wydają się niewystarczające dla ogromu motywu, na który porwali się twórcy. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, iż jest to największa ze wszystkich kucykowych przygód, wliczając w to także serialowe dwuodcinkowce. Wiele pytań z konieczności musiało zostać pozostawionych bez odpowiedzi, niektóre jedynie muśnięto... W mojej opinii Lustrzana Equestria zasługuje nawet na osobną mini-serię, na rozwinięcie zakończenia, którego jednak raczej nie dane będzie fanom zobaczyć. Naprawdę wielka szkoda.

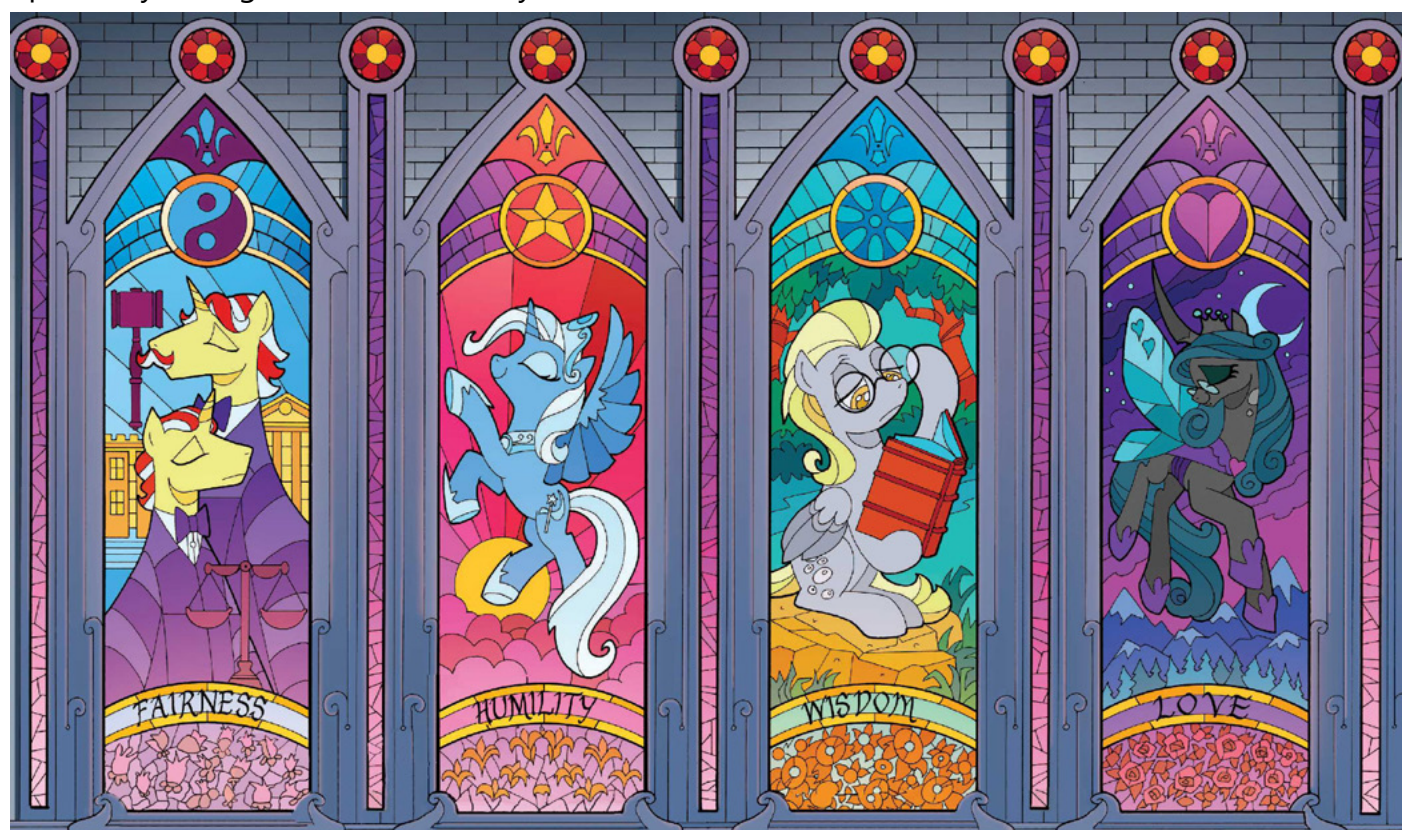
Uwaga, Alarm Spoilerowy! W tym akapicie chciałbym poruszyć kwestię zakończenia, które siłą rzeczy musi więc zostać w jakimś stopniu ujawnione – postaram się jednak nie wchodzić zbyt głęboko w szczegóły. Czytelnicy pragnący uniknąć jakichkolwiek poważniejszych spoilerów proszeni są o przejście do następnego akapitu. Czy wszyscy niezainteresowani przesunęli już swoje spojrzenia? Tak? Doskonale. Chciałbym zatem podkreślić, iż zakończenie „Reflections” uważam za jedno z najlepszych w kuco-komiksach i to nie tylko tych, które zrecenzowałem już na łamach ET. Różni się od pozostałych tym, że pomimo ostatecznego i przewidywalnego (to w końcu kucyki, na litość

Neptuna) triumfu protagonistów, jest ono niezwykle gorzkie i musiało zostać drogo okupione. „Happy-sad end” nie przynosi bohaterom wielkiej radości; oba światy zostały ocalone, lecz na płaszczyźnie o wiele postaciom bliższej i osobistej wydarzyła się tragedia. To naprawdę zaskakujące rozwiązanie, a przy tym dobrze zrealizowane, ponieważ angażujące emocjonalnie. Ta historia nie mogła zakończyć się inaczej... ale czytelnik chciałby, by tak się właśnie stało. Alarm Spoilerowy zakończony.

Czas na oceny. Cóż mogę rzec, po poprzednich potknięciach komiksy znów wskoczyły na wysokie obroty, Price&Cook raz jeszcze wspięli się na sam szczyt. Tym razem przebili nawet samych siebie, a ocena powinna to odzwierciedlać, dlatego też wystawiam... 9/10. Muszę przyznać, iż niezwykle kuszące było przyznanie pełnej 10, ale komiks ma jednak pewne mankamenty, a idealna nota nie jest czymś, czym powinno się szafować tak łatwo. Tak czy inaczej, lekturę „Reflections” polecam każdemu, zawsze i wszędzie. I oby takich komiksów czekało nas jak najwięcej.

Na dziś to już wszystko. W następnym numerze natomiast zajmiemy się niezwykle istotną kwestią pucuśności pastelowych pucyków. Czy jest wartością samą w sobie i ile w zasadzie jest warta? Zostańcie z nami, by poznać odpowiedzi na te pytania!

Adios!





Ćwiczenia młodego pisarza

Jak poprawić swój warsztat: Wena, wena, ty samico psa!

Długo nie miałam pomysłu na kolejny odcinek ćwiczeń młodego pisarza, a staram się, by ta seria była wartościowa i dopieszczona tak bardzo, jak to tylko możliwe. Aż w końcu mnie oślniło – mało pisaliśmy o wenie i inspiracji, a przecież mnóstwo fików ulega porzuceniu, ponieważ autor nie wie, co dalej. Czasami przychodzą też konkursy literackie, na które chciałoby się niby coś napisać, ale jak to zrobić, kiedy w głowie ma się pustkę? Pozwólcie, że zdradzę Wam parę sztuczek, dzięki którym będziecie w stanie pisać opowiadania na dowolny temat i je kończyć. Mało ma to wspólnego z kreatywnością, więcej ze żmudnym rzemiosłem, ale jak by to powiedział Todd Howard – „It just works”.

» *Cahan*

Wena to zdradliwa pani. Czasami jest, a czasami jej nie ma. Deadline konkursu się zbliża, fani marudzą, że dawno nie było nowego rozdziału, a my nie wiemy, co robić. Ten artykuł nie rozwiąże Waszych problemów z pisaniem, ale może podsunie Wam metody, które okażą się dość skuteczne, by mimo wszystko tworzyć.

Przypominam, że wyniki swoich ćwiczeń możecie przysyłać na email equestriatimes2014@gmail.com), a ja je sprawdzę i opublikuję w kolejnym numerze naszego czasopisma. Jeśli się wstydzicie, to możecie nas poprosić o zachowanie anonimowości. Jeśli zdecydujecie się zrobić zadania z poprzednich odcinków, to również możecie je nadsyłać.

Ćwiczenie nr 1: Zrobiłbym to lepiej

Część teoretyczna:

Czasami natykamy się na fanfik z jakimś motywem, który miał potencjał, ale autor go zupełnie zmarnował. W takich chwilach często zastanawiam się, co by tu można poprawić, jak to zmienić i zrobić zupełnie na nowo. Nie chodzi o plagiatowanie, tylko o historię w konkretnych klimatach.

Weźmy takie TCB, czyli fanfiki o Biurach Adaptacyjnych. Jest ich mnóstwo, a wszystko zaczęło się od jednego opowiadania, ponoć słabego (podobnie jak większość tekstów w tych klimatach). Większość TCB zakłada istnienie Bariery, za którą znajduje się Equestria, paru rodzajów eliksirów ponyfikacyjnych (klasycznie są to wiśniowy i winogronowy) oraz snów ponyfikacyjnych. Do tego występują FOL i POZ. Zazwyczaj można podzielić je na dwa rodzaje: kuce są złe bądź ludzie są źli.

Ich cechą charakterystyczną jest jednak pewna wtórność i mielenie w kółko tych samych motywów, często bezmyślnie. Akcja musi się dziać głównie na Ziemi i zawierać pobyt w tytułowym biurze. Oraz walki ludzkości i kuców. Parę lat temu pomyślałam sobie: czemu by nie przenieść akcji do Equestrii i czemu by ten świat nie miałby się okazać zupełnie różny od tego, co pokazano w serialu? Czemu by nie wywalić Bariery i skupić się na zupełnie innych konfliktach niż FOL i POZ? I tak narodził się pomysł na Smak Arbuza, który dalej rozwijam.

W SA nie ma i nie było Twilight oraz jej przyjaciółek, a większość konwertytów zostaje kucami ziemnymi. I kończy jako tania siła robocza. A to tylko wierzchołek góry lodowej. Nie piszę jednak o tym po to, by się chwalić, po prostu to przykład, który znam najlepiej, bo jest mój.

Równie dobrze można próbować przemielić Fallouta, napisać nowe My Little Dashie (co zrobił Psoras i wyszedł mu świetny fanfik) czy nawet własny crossover z Wiedźminem. Ba, można napisać swojego fika o czarnych alikornach czy opowiadanie wojenne. Ogranicza nas jedynie sztywność umysłu. Nie należy też zapominać o fanfikach do fanfików – w polskim fandomie powstały i pewnie nadal powstają fanowskie teksty do Kryształowego Oblężenia oraz Wiedźmy. Takie rozwiązanie ma też tę zaletę, że autorowi oryginału będzie miło i poczuje się doceniony.

Część z Was pewnie powie: a gdzie tu oryginalność? Ale pozwólcie, że Wam wytłumaczę jedną ważną rzecz: w popkulturze nie ma tak naprawdę rzeczy zupełnie nowych. Mieli się te same archetypy i topoty, a czasami z nimi bawi. I to trwa już od czasów starożytnych. Czasami można naprawdę wiele wyciągnąć, tworząc coś, co powstało na bazie czegoś innego. Można wręcz stworzyć coś dużo lepszego od oryginałów i do tego bardziej kreatywnego. Dlatego nie należy się wzbraniać przed obraniem tej drogi.

Jednak nie należy przesadzać i kopiować. Pomiędzy plagiatem a inspiracją jest wbrew pozorom twarda granica. Jeśli napiszemy w zasadzie to samo, tylko główny bohater zamiast Krzysztof będzie się nazywał Kamil i zamiast Luny będzie podrywał Fluttershy, to jest to plagiat – szczególnie jeśli całe sceny będą żywcem wyjęte ze starszego dzieła. Ale można przecież napisać dwa zupełnie różne romanse (ale nie piszcie lepiej human x pony, bo to zło).

Polecenie:

Wybierz jakiś fanfik czy inne dzieło popkultury i zastanów się, co mógłbyś zmienić, by było lepsze. Spisz swój pomysł, a potem do dzieła! Możesz podzielić się linkiem z naszą redakcją.

Ćwiczenie nr 2: Motyw

Część teoretyczna:

Czujecie czasami fascynację jakimś motywem? Np. superbohaterami, więziami przyjaźni czy grzechem oraz pokutą? Na pewno tak. W poprzednim ćwiczeniu skupialiśmy się na czymś dużo szerszym, tu chodzi o coś mniejszego. Te same motywy od wieków inspirują twórców, sprawiając, że ci piszą zupełnie różne dzieła. Przykłady? Zbrodnia i Kara, Makbet oraz Balladyna.

Jeśli potrzebujesz czegoś na szybko, to możesz wziąć coś, co pojawiło się w jakiejś książce, grze czy filmie. A może istnieje motyw, który po prostu lubisz? Jeśli tak, to już masz jakiś punkt wyjścia. To szczególnie cenne przy konkursach literackich, gdzie niby są jakieś tematy, ale sam temat to często za mało.

Polecenie:

Pomyśl, jaki motyw przewijał się w ostatnim konsumowanym przez Ciebie dziele popkultury i zastanów się, co mógłbyś z nim napisać. Co więcej – po prostu to napisz.



Ćwiczenie nr 3: Zacięcie

Część teoretyczna:

Piszecie wielorozdziałowca i właśnie się zacięliście? Czytelnicy wołają o nowe rozdziały, a Wy sami nie wiecie, jak poprowadzić fabułę? To dość trudna i nieprzyjemna sytuacja, którą dość dobrze znam. Sama lubię wtedy dokładnie wszystko przemyśleć, a czasami wsadzam jakieś wątki poboczne tylko po to, by się przełamać i odświeżyć umysł. Dość często wypalamy się i tracimy wenę, ponieważ pisanie stało się bardziej przykrym obowiązkiem niż zabawą i hobby.

W takich chwilach czasami dobrze jest sobie zrobić przerwę i popisać coś innego – np. jakiegoś oneshota albo rozdział specjalny. Sama w takich momentach lubię pisać sny postaci. W nich mogę pozwolić sobie na więcej i oddać się radosnemu szaleństwu lub wprost przeciwnie – uwolnić koszmara.

Inną metodą jest znalezienie sobie prereadera i rozmawianie z nim. Poproście go o zadawanie pytań – Co? Jak? Dlaczego? Spróbujcie na nie odpowiedzieć i ciągnąć to wszystko kawałek po kawałku. Zazwyczaj się zacinamy, ponieważ sami nie wiemy, czego szukać i jak połączyć punkt A z punktem C. Nawet jeśli sami na to nie wpadniemy, to z czyjąś pomocą już tak.

Kolejną rzeczą jest rutyna. Może nam się nie chce, ale jeśli codziennie siądziemy i napiszemy chociaż 300 czy 500 słów, to po dziesięciu dniach uzyskamy ich już 3000 czy nawet 5000. Nie chodzi o to, by to było dobre. Lepiej stworzyć coś średniego niż nic. Poza tym, na koniec zawsze będzie można przeczytać jeszcze raz i poprawić. Dobrze jest sobie znaleźć kogoś, kto będzie nas gonił do pisania i olewał nasze wymówki, by tego nie robić.

Przy pisaniu przydaje się też wsparcie – może siadźcie razem z innym pisarzem i piszcie w tym samym czasie Wasze dzieła, dzieląc się regularnie liczbą napisanych słów? Będzie Wam różniej oraz możecie potraktować to jak wyzwanie. Niektórych to motywuje.

Przedpremierowo podzieliłam się tym artykułem z moim kolegą i prereaderem (a przy okazji pisarzem) Zodiakiem, który zdradził mi swój sekretny sposób na zacięcie przy wielorozdziałowcach: wypisać sobie nazwy rozdziałów. Taka lista działa motywująco i pozwala sobie uporządkować, co ma się kiedy mniej więcej wydarzyć. Pozwala też ocenić, jak długa będzie tworzona przez Was historia.





Wywiad z Pingwinową

Każdy z nas widział kiedyś pingwina – na filmie dokumentalnym, w zoo, w kinie bądź nawet na zwykłych zdjęciach w Internecie lub w głupim filmiku. Może wśród naszych Czytelników znajdą się pasjonaci tych uroczych nietotów. Ale co wiecie o Pingwinowej? W dzisiejszym wywiadzie porozmawiamy z artystką z naszego rodzimego podwórka.

» Victoria Luna

Victoria Luna: Witam Cię serdecznie, droga Pingwinowo. Opowiedz nam co nieco o sobie.

Pingwinowa: Jestem małym pingwinem z pasją do tworzenia i słabością do czekolady <śmiech>.

V: Czekolada to słodko-gorzkie uzależnienie każdego z nas. Czy tworzysz coś z udziałem czekolady?

P: Zawsze, jak chcę wypróbować jakieś nowe medium, zaczynam od odcieni zbliżonych do czekolady <śmiech>. Kiedy zaczynałam rysować markerami, zakupiłam 4 odcienie, w których pozycję obowiązkową zajął „cocoa”. Poza tym lubię piec i większość słodkości, które opuszczają mój piekarnik, zawiera chociażby symboliczną ilość czekolady.

V: Przyznam się, że również uwielbiam piec. Ciężiej przypalić ciasto od soku :) Czyli jesteś wielbicielek czekoladowych odcieni?

P: Owszem. Sporo z moich postaci jest brązowych lub posiada brązowe akcenty. Jest to taki ciepły i sympatyczny odcień.

V: Zgadzasz się. Wcześniej wspomniałaś o pierwszych markerach. Co Cię skłoniło, by je kupić i spróbować swoich sił w rysowaniu?

P: Głównie polecający znajomi. Wcześniej korzystałam najczęściej z kredek, ale uznałam, że fajnie będzie wypróbować nowe medium. Co prawda za czasów szkolnych cena za 1 marker była lekko odstrasżająca, więc chwilę mi zajęło faktyczne przekonanie się do zakupienia chociażby paru sztuk. Przeszliśmy razem dość długą drogę, zanim nauczyłam się całkiem satysfakcjonująco z nimi pracować. Aktualnie są na liście 4 moich ulubionych mediów tradycyjnych.

V: O! A czego poza markerami używasz podczas pracy?

P: Uwielbiam kredki akwarelowe! Możliwość rozwadniania pigmentu pozwala na piękne łączenie kolorów. Jest to trochę czasochłonne, jednak mogę dodawać warstwy mokre i zakończyć najmocniej napigmentowaną suchą warstwą, co daje świetne efekty. Dzięki pędzłom wodnym nie ograniczam się do rysowania przy biurku. Mogę swobodnie zapakować część kredek na wyjazd :)

Z pozostałych mediów, które mają ważne miejsce w moich serduszkach, są klasyczne kredki. Zazwyczaj

łączę i mieszam produkty różnych firm. Chyba moim najlepszym połączeniem są derwent colorsoft + twarde kredki firmy bic z małym dodatkiem bambino. Muszę wymienić także ecoliny. Nie wierzyłam, że kiedykolwiek dogadam się z farbami wodnymi. Jednak ich intensywne kolory i cudne akwarelowe efekty rozwały moją niechęć. Są bardziej nieokreślone w porównaniu z pozostałymi narzędziami, ale po stoczonych bataliach jestem zazwyczaj bardzo zadowolona z efektów.

V: A jak z techniką cyfrową? Jesteś za czy przeciwko cyfryzacji i stronisz od tego typu prac?

P: Swoją przygodę z technikami cyfrowymi zaczęłam w liceum, jednak jak to ze mną bywa, sporo czasu i walki zajęło mi dogadanie się z tabletem i dopiero na studiach mogłam powiedzieć, że w miarę wiem co robię xD Programy graficzne dają niesamowite możliwości. Opcja zapisu każdego etapu pracy pozwala na sporą dozę eksperymentów i zapewnia dużo artystycznej swobody. Rysowanie przy komputerze ma także cudowną opcję ctrl+z, której często mi brakuje, gdy wracam do klasycznej kartki papieru. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy nie więcej czasu spędzam teraz korzystając z dobrodziejstw programów graficznych niż mediów tradycyjnych.

V: Sama mam podobny problem. Często ubolewam też nad faktem, gdy nie mam dostępu do wybranej techniki, a jestem np. w trasie lub w szkole... Jeśli już jesteśmy w temacie nauki – studiujesz kierunek artystyczny czy coś kompletnie odmiennego?

P: Powiedzmy, że okołoartystycznie studiowałam. Skończyłam sztukę ogrodową, gdzie poza typową nauką o roślinach mieliśmy sporo zajęć z projektowania i trochę z rysunku technicznego. Dodatkowo doszkałam się podyplomowo z grafiki komputerowej.

V: Mnie również chcieli na to wysłać, tyle że do szkoły średniej o takim profilu <śmiech>. Czy polecasz innym ten kierunek?

P: Hmm, ciężkie pytanie. Sporo zależy, czego oczekujemy po tym kierunku. W porównaniu z architekturą krajobrazu oferuje mniej zajęć z rysunku i projektowania, nadrabiając wiedzą z zakresu roślin i ich zastosowania. Widziałam wiele przykładów praktycznych, gdzie fajny projekt architekta po roku lub 2 był już kompletnie nie do użytku, bo nie uwzględnił wymagań roślin i wpływu środowiska. Więc jeśli masz zamiłowanie do natury i artystyczną duszę, to może być miejsce dla Ciebie, jednak nie raz się pobrudzisz i będziesz musiał uczyć się takich niezbyt pasjonujących rzeczy jak skład azofoski.



V: Poruszyliśmy temat pracy, a teraz czas na hobby. Co lubisz robić w wolnych chwilach, prócz pieczenia ciast czekoladowych?

P: Moim głównym zajęciem jest praca w małej firmie robiącej gry – Moonlit na stanowisku office manager. Dodatkowo wraz z koleżanką założyłyśmy niedawno małą firmę graficzną i próbujemy swoich sił w pracy artystycznej.

V: Brzmi ciekawie. Czy możesz opowiedzieć nam o Moonlit oraz o zakresie Twoich obowiązków?

P: Moonlit jest krakowskim studium. Zajmują się zarówno produkcją własnych gier, jak i zamówieniami od innych firm. Moim głównym obowiązkiem jest pilnowanie, żeby ludzie byli zadowoleni. Stoję na straży zapasów i kontaktuję się z księgową, żeby pracownicy na czas mieli potrzebne dokumenty. Zajmuję się także urlopami i fakturami



V: Dla mnie brzmi to jak papierkowa robota. Czy zdarzyły Ci się kiedyś wpadki, z których teraz się śmiejesz?

P: O tak! Głównie przez moje szczęście do małych wypadków losowych. Pamiętam jak kiedy odkamieniałam czajnik, postanowił on jednak się zagotować i wypluć z siebie pianę. Zamoczył podstawkę, co spowodowało zwarcie i straciliśmy prąd w jednym z pokoiów ^ ^'

V: Ojej! Awaria była poważna?

P: Nie, dość szybko przywróciliśmy wszystko i skończyło się na śmiechu z mojej miny, gdy zobaczyłam atakujący pianą czajnik.

V: Mam nadzieję, że takie rzeczy zobaczę tylko na filmie z youtube <śmiej>. Wspomniałaś o grupie artystycznej. Czy to D'n'A?

P: Nie, firma nazywa się BAGNO, czyli bardzo artystyczna grupa niepoprawnych optymistów.

V: Podoba mi się jej nazwa. Co było inspiracją do jej stworzenia?

P: Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Dość długo żartowałyśmy, że stworzymy firmę o nietypowej nazwie, ale nie wiem jak wpadłyśmy akurat na bagno (lub do bagna <śmiej>).

V: A w czym się specjalizuje Wasza ekipa? Czy są to kucyki, postacie z gier czy jeszcze inne stworzenia?

P: Myślę, że nasze mocne strony to komiks i ilustracja dziecięca. Pracujemy teraz nad poprawą naszych umiejętności jako animatorzy.

V: Inspirujecie się większymi wydawnictwami np. Marvel, DC Comics, Walt Disney (tak, są komiksy z Disneya, kolekcjonuję je od 4 roku życia ;) czy stawiacie na samodzielne historie? Czym się inspirujecie podczas pracy?

P: Jest wiele komiksów i mang, które mnie inspirowały. Najstarszym komiksem, który pochłaniałam z zapartym tchem, były „Życie i czasy Sknerusa McKwacza”. Niestety własną kopię dorwałam dopiero, jak wydali kilka lat temu dodruk. Nadal bardzo lubię postacie z Kaczogrodu. Nowe „Kacze opowieści” są super! Czekam na nowy sezon. Słyszałam, że ma się tam pokazać Daisy. Szkoda, że większość koszulek i gadżetów wychodzi u nas z Myszka Miki!

V: Też nad tym ubolewam. Jest wiele postaci, które zostały świetnie wykreowane, lecz wie o nich garstka zagorzałych fanów. Zapomniałam o najważniejszym pytaniu: jak trafiłaś na kucyki?

P: Hmm, nie pamiętam dokładnie kiedy, ale to było ok. 7 lat temu. Moja znajoma zaczęła rysować obrazki z kucykami. Zaciągnęłam Ailish na seans i dość szybko dałyśmy się wciągnąć :D Później kolega powiedział nam o meetach kucykowych i tak już zostałam :) Teraz powoli przygotowuję się na Snowfall.

V: Ja również jadę na Snowfalla z przyjaciółkami i znajomymi ^^ Pamiętasz swój pierwszy rysunek oraz pierwszy konwent? Co czułaś w obu sytuacjach?

P: Hmm, pierwszego rysunku nie pamiętam, byłam zbyt małym szkrabem xD ale pamiętam swój pierwszy konwent. Zaczynałam wtedy oglądać anime i dostałam cynk od znajomej, że w Krakowie są organizowane zjazdy fanów! Wybrałam się z nią na najbliższy i mimo lekkiego zdenerwowania bardzo mi się spodobało. Super wspominałam tamtejszy artroom. Wydawało mi się wtedy, że ciężko jest ogarnąć wszystko i jest tyle ciekawych rzeczy do robienia, że muszę na następny raz iść na 2 dni! Iii od razu pokochałam cosplay.

V: Czy to właśnie tam wymyśliłaś swoją ksywkę – Pingwinowa?

P: Nie. Moja ksywka narodziła się nieco później. Razem z bratem graliśmy w MMORPG Maple Story. Kiedy dodali tam nową grywalną postać, budziła się ona w mieście pingwinów. Był tam jeden silny pingwin, którego z bratem nazwaliśmy Pingwinowa, bo był strasznie cool xD Później, szukając nazwy na konto na deviantarcie, przypomniałam sobie jego i uznałam, że będzie mnie motywował do rysowania, i taką nazwę przybrałam.

V: Masz swoje ulubione tytuły, które poleciłabyś naszym Czytelnikom?

P: Tytuły w sensie gry/komiksy/książki/planszówki/filmy? kreskówki anime? czy książki do nauki rysowania?

V: Może być wszystko!

P: Hmm, z książek do rysowania, które najlepiej wspominałam i dalej mam, to „Lekcje rysowania i malowania fantasy” (i kolejne z tej serii). Dały mi one mnóstwo inspiracji! Ostatnio sporo gram w gry planszowe, więc mogę sporo polecić. Moje ulubione pozycje, które odkryłam w zeszłym roku, to Root (cudowne ilustracje i można grać ptaszkami!), Arkham Horror: The Card Game (angażująca fabularnie gra, która co chwilę Ci pokazuje, że zapewne nie wygrasz) a z mniej wymagających dostałam ślicznego Azula gdzie układamy mozaikę.

V: A jak sprawa wygląda z cosplayem? Zrobiłaś już kilka kostiumów?

P: Zrobiłam kilka małych cosplayów, ale głównie pomagałam znajomym w ich strojach. Mój ostatni własny

projekt skończył dość smutno, bo zanim skończyłam cały strój Arrakkooa, maska, którą stworzyłam jako pierwszą, została uszkodzona.

V: Co się stało?

P: Przez chwilę była u moich rodziców i mama nie zauważyła jej i wrzuciła jakąś rzecz do szafy, co spowodowało, że pękła :< Była lekko naruszona w czasie transportu, więc dużo nie potrzebowała żeby całkiem popękać...

V: Przykro mi to słyszeć. Twórca nie lubi patrzeć na zniszczone dzieło, zwłaszcza gdy jest jego... Masz w planach kolejne cosplaye?

P: Na razie nie planowałam, może w przyszłości coś się uda podzielać. Jest kilka rzeczy, które bym chętnie zrobiła, ale brakuje albo czasu, albo pieniędzy... Pomyśle nad czymś na Pyrkon przy pomyślnych wiatrach.

V: Czy chciałabyś coś jeszcze dodać coś od siebie?

P: Rysujcie! I małymi pingwinimi kroczkami stawajcie się lepsi~!

V: Dziękuję za poświęcony dla nas czas.





Nauki płynące z serialu: Sezon ósmy

Morały dobre i złe

Hej, pierożki! Dawno, dawno temu, kiedy Equestria Times przez parę miesięcy wychodziło na czas, a sezon dziewiąty dopiero był w planach, pisałam artykuły z tej serii. A potem mi się nie chciało, więc przestałam. Ale teraz coś się zmieniło – tzn. tak jak mi się nie chciało, tak się dalej nie chce, ale perspektywa niedostatku artykułów do 37 numeru, a także to, że jeszcze tylko dwa sezony i nigdy więcej, są motywujące. Tymczasem czas się poświęcić, odpalić Wiki oraz Sparkle Subs, żeby sobie przypomnieć, o czym to w ogóle było... Z drugiej strony trwają koronaferie, więc maraton kucyków nie jest aż taką złą opcją.

» Cahan

School Daze

Twilight otwiera szkołę, ponieważ mapa się rozrosła, a inne stworzenia nie znają przyjaźni, bo są głupie takie i gorsze, no, trzeba ich jej nauczyć. Jak tak teraz o tym myślę, to strasznie rasistowskie te kucyki – czemu niby jaki czy hipogryfy miałyby nie znać przyjaźni? Bo pochodzą z innych kultur? I jak w ogóle można się nauczyć przyjaźni inaczej niż pielęgnując konkretną więź z konkretną osobą? Zresztą sam odcinek pokazał, że to nie ma sensu. Student Six się za sobą zaprzyjaźniło na wagarach, ponieważ mieli dość swoich nudnych nauczycielek.

Drogie dzieci, czy wiecie, że jeśli macie władzę, to prawo Was nie obowiązuje? To znaczy... Nie

wiem, jaki system mają w tej Equestrii, że z jednej strony księżniczki podlegają pod Komisję Edukacji Koniowatych, a z drugiej szkoła bez akredytacji może działać – za aprobatą samej Celestii. Cóż, czy z tego odcinka można się czegoś nauczyć? Czy jest w tym morał? Cóż, Hasbro chyba o tym nie pomyślało, ale ja widzę jedną rzecz – prawo to jeden wielki burdel, a jeśli rządysz państwem, to możesz je łamać, bo co Ci zrobią? Zgłoszą do prokuratury, którą masz w kieszeni?

The Maud Couple

Wicie, skąd się biorą żrebaczki? Kiedy kamienie i patyki się stykają... Zaraz, nie to, nie to! Wybaczcie te suche żarty, ale ja to muszę oglądać, więc staram się pisać w sposób znośniejszy dla mnie (i mam nadzieję, że również i dla Was). To boleło, serio. Oglądanie, jak Pinkie Pie ma problem z autystycznym związkiem swojej autystycznej siostry od kamiennej groty i jej chłopaka, którego konar raczej nie płonie... Znaczą, rozumiem morał – to nie my mamy widzieć to coś w partnerach członków rodziny oraz przyjaciół, tylko osoby, które w tych związkach siedzą. I ja się z tym jak najbardziej zgadzam. Ale czemu to wykonanie jest takie bolesne? Ja rozumiem, że postacie takie jak Maud Pie mają uczyć dzieci, że ci dziwni autystycy to też są ludzie i pod tą warstwą dziwności są całkiem fajni, ale tych konkretnych bohaterów praktycznie nie da się polubić.

Fake It Til You Make It

Pamiętacie ten legendarny odcinek z asertywną Fluttershy i Iron Willem? No to mamy swego rodzaju powtórkę. Tym razem Rarity potrzebuje zastępstwa w jednym ze swoich sklepów. Prosi o nie wszystkich, a na końcu (bo nikt inny nie chce), również Shy. Co jest dziwne, ponieważ ze wszystkich przyjaciół z Ponyville, tylko ona interesuje się modą, umie szyc i w ogóle... Co prawda, kiedy serial tego potrzebuje, to nagle zapomina o tym, kto wykańczał kciekę Rar na Galę. Kto robił jako modelka. I kto gadał z białą jednorożką o szwach.

Nasza powtórka jest równie zła pod względem dydaktycznym, co pierwowzór. Morał odcinka jest taki, że należy być sobą, nawet jeśli oznacza to bycie zupełną ciapą, i że przyjmowanie maski asertywności czy profesjonalnej sprzedawczyni jest niedobre, bo tak mówi bajka o kucykach. Oraz że jeśli jesteś Fluttershy, to wszyscy wybaczą Ci okazjonalne bycie dupkiem, bo to nie Twoja wina. Problem w tym, że przyjmowanie biznesowej maski nie jest złe.

Aura profesjonalizmu chroni nas przed niemiłymi i trudnymi klientami oraz się im podoba. To biznes, nie przyjaźń. Co prawda tym razem nie było o kogo zwalić, że Shy nie umie się zachować, ale wciąż... Uważam, że produkcje dla najmłodszych powinny uczyć ich brania odpowiedzialności za swoje czyny oraz że bycie sobą przez cały czas to niekoniecznie jest preferowany sposób na życie. Szczególnie kiedy się pracuje z ludźmi.

Grannies Go Wild

Babcie lecą do Las Pegasus, a Rainbow Dash razem z nimi, bo tylko tak może ogarnąć urlop i przejechać

się kolejką górską. Jednocześnie ma robić za niańkę i trzymać się głupich wytycznych jakiejś klaczy tła.

Nie oceniaj książki po okładce, a babci po protezie całkowitej. Morał stary jak świat i Babcia Kowal. I jest spoko. Wszyscy kiedyś będziemy starzy, ale zajeństwo nie zna wieku, to stan umysłu. Nie należy też odmawiać starszkom przyjemności, ponieważ są bardziej chorowitą i słabą grupą. Bo może i robimy to z troski, może nawet to pozwoli przeżyć im parę dni dłużej, ale co to za życie?

Surf and/or Turf

Wiedzieliście, że można mieć ciastko i zjeść ciastko? Zobaczcie jak! A nie, zaraz, to tak nie działa. Chyba że w Koniogryfowie Górnym i Koniogryfowie Mokrym. Niektórzy widzą tu metaforę rozvodu i to, że dziecko nie musi wybierać pomiędzy rodzicami.

Rozumiem ten punkt widzenia i w ogóle, ale... To nie ma sensu. W realiach rodziny hipogryfów matka i ojciec Terramar mają dobre stosunki i prawdopodobnie nadal się kochają. Tymczasem przeciętne małżeństwo po rozwodzie drze koty. To pierwsza kwestia, ale nie aż tak ważna – oni mieszkają raptem kilkadziesiąt metrów od siebie. Może kilkaset. Cały ten problem jest sztuczny. Terramar nic nie traci i może sobie pozwolić na to, by z niczego nie rezygnować. Tymczasem w prawdziwym świecie jego wybór byłby...

Pomiędzy Wrocławiem a Krakowem. Albo w obrębie Wrocławia – pomiędzy Psim Polem a Leśnicą. Znaczna odległość, niemożność widywania drugiego rodzica codziennie, konieczność zmiany środowiska, jeśli chce się np. wprowadzić do ojca, który wyniósł się z dotychczasowego domu. I właśnie dlatego morał Surf and/or Turf jest po prostu do kitu.



Horse Play

Okłamywanie bliskich ssie. Mówienie komuś, że jest świetny w czymś, w czym jest beznadziejny, też ssie. To dobry morał, z którym się zgadzam. Nie należy udawać, że słońce jest zielone, ponieważ uczucia. Ale zapamiętajcie to, ponieważ już za kilka odcinków serial nagle dostanie amnezji i o tym zapomni. I tak jak Celestia jest kijową aktorką, i może nie powinna w teatrze akurat grać (przynajmniej teraz, może milion lekcji by coś zmieniło), tak Ania z 1C nigdy nie zostanie piosenkarką, bo śpiewa jak redaktor naczelna Equestria Times. Co nie zmienia tego, że Celestia może bawić się w teatr, a Ania śpiewać pod przysznicem.

The Parent Map

Ugh... Nie wiem, jak to ugryźć. Sunburst i Starlight dostają wezwanie do domu, ponieważ mapa uznała, że mają problem z rodzicami i mają go rozwiązać, zamiast olewać problem. Tylko w sumie dlaczego? Na miejscu okazuje się, że matka Sunbursta i ojciec Starlight są chyba ważnymi kucami w wiosce, ponieważ mieszkańców można podzielić na dwa przeciwne stronnictwa, a oni za nimi stoją. Ona chce, by było nowoczesnie, i tym samym zmienia życie w koszmar, a on... Robi skansen, co jest równie złe. Czemu nikt ich nie kopnął w zady? Nie wiem.

Ale to tam pół biedy – bo to nie w tym magiczna mapa widziała problem. Nie, to tam pół biedy. Ale jak tak można olewać toksycznych rodziców? Nadopiekuńczego ojca i despotyczną matkę, która będzie ci mówić, jak masz żyć. Jak masz żyć zresztą też. Rozumiem, że próbowali pokazać dzieciom, że rodzice czasami są nieznośni, bo im zależy i nas kochają, i nie powinniśmy ich za to odtrącać, ale wierzyć, że rozmowa z kimś takim zmieniłaby jego zachowanie? Wątpię.

Non-Compete Clause

AJ i RD odwalają toksyczną rywalizację, epizod pięćdziesiąty ósmy... A studenci są mądrzejsi od nauczycieli. Znowu. A morał z tego taki: nie bądź idiotą.

The Break Up Break Down

Pewnego dnia małe dziewczynki dorosną i zaczną wchodzić w związki. A w tych związkach pojawią się problemy. I wtedy te młode, silne i mądre kobiety przypomną sobie odcinek tej bajki o kucykach, który oglądały kilkanaście lat temu. I wtedy podczas kłótni zamiast „DOMYŚL SIĘ!” padną zupełnie inne słowa – powiedzą, o co im chodzi. Nie no, żartuję, do tego nie dojdzie. Ale fakt, że wiele problemów można rozwiązać... ROZMAWIAJĄC ZE SOBĄ. I zamiast strzelać fochy, płakać, że on jej nie kocha, bo zapomniał o piętnastej tygodnicy związku albo polajkował fotę swojej koleżanki z pracy, to można z kimś porozmawiać.



Właściwie to morał tego odcinka nie ogranicza się jedynie do związków. Ludzie często tworzą sztuczne problemy przez braki w komunikacji, plotki czy „głuchy co nie usłyszy, to zmyśla”. I to jest prawda.

Molt Down

Moi drodzy bronies! Nawet jeśli jesteście przyszczaci, śmierdzący i bekacie, to Wasze rodziny i tak Was kochają! Dzieci w okresie dojrzewania też to dotyczy. Poza tym mutacja głosu, przyszcze i smród kiedyś się skończą, a Wy dostaniecie nowe skrzydła... Tzn. będziecie płacić podatki i zasuwać do roboty, ale tego to nie pokazali. Odcinek jak odcinek, daję okejkę.

Marks for Effort

Zupełnie zapomniałam o tym odcinku, więc musiałam go sobie odświeżyć. Nie nauczyłam się absolutnie niczego. Może poza tym, że kiedy chcesz, by ktoś się poczuł doceniony, ale musisz go zwolnić lub go nie chcesz w swoim projekcie, to dajesz mu bezużyteczny dyplom pocieszenia.

The Mean 6

Żeby dokonać zemsty na kucykach, Chrysalis tworzy klony Mane 6. Ale ponieważ te są równie mocno upośledzone, jak oryginały (tylko w drugą stronę),

to efekt jest taki, że paczka Twałota nawet niczego nie zauważyła. A sama Krystyna niemal została obalona przez złą Twilight, która jako przeciwieństwo tej prawdziwej – miała mózg. Morał płynie z tego tylko jeden: dobrze dobieraj współpracowników, bo ci za mądry wygryzą cię ze stołka, a za głupi wszystko zrujnują.

A Matter of Principals

Starlight zastępuje Twilight na stanowisku dyrektora i Discord chce „pomóc”, co oznacza durne żarty, niebezpieczeństwo dla uczniów i wkurzanie wszystkich. Potem serial próbuje nas nauczyć, że wcale nie należało takiego jegomościa odsuwać i wypraszać, tylko docenić jego koszmarną pomoc i dołączyć do drużyny.

W prawdziwym życiu nie ma Discorda. Jest Janek Klasowy Błazen, który rozwała Wam pracę grupową, a potem dostanie 5, bo Wy się staraliście. Bajka o kucykach się myli – nie dla takich jednostek. Nie pozwólcie sobie wchodzić na głowę, nawet jeśli Janek czy inny Discord to Wasz kumpel. Bo niby dlaczego macie pozwalać na rujnowanie waszej pracy? W imię przyjaźni? Czy chcecie, by tak wyglądała ta cała przyjaźń? Ja bym nie chciała.

The Hearth's Warming Club

Student Six opowiada o tym, jak poza Equestrią obchodzą zimowe święta. A, i sprzątają, bo ktoś zdemolował klasę i nie chce się przyznać. Zaś Twilight stosuje kary grupowe, bo to jest to, co robi dobry nauczyciel. Widać, że władze mojej uczelni oglądają My Little Pony: Friendship is Magic... Pozwólcie, że porównam to do A Matter of Principals, ponieważ i tu, i tu mamy przyjaciela, który w jakimś stopniu rujnuje naszą robotę i niszczy nam życie. Jednak co odróżnia Gallusa od Discorda? Hmm... Sam się przyznał? Sam pojął, że był dupkiem, i przeprosił? Robił to z jakiegoś innego powodu niż „nikt nie chce się ze mną bawić, a ja się nudzę”? Czy jest z tego jakiś morał – zainteresujcie się samotnymi ludźmi, którzy nie mają rodzin (albo mają w domu ostrą patologię) i nie mają co ze sobą zrobić podczas wakacji i świąt.



Friendship University

Ten odcinek mógłby opowiadać o tym, że plagiat i łamanie praw autorskich to zło. Albo o czymkolwiek innym, a przydatnym. Tymczasem dostajemy lekcję o tym, że sprzedaż notatek i płatna edukacja to zło. Na prywatnym uniwerku. Nie jestem fanką kapitalizmu i płatnej edukacji, ale to prywatna placówka, więc Flim i Flam ponoszą koszt jej utrzymania. Gdyby odcinek skupił się na potępieniu fałszywej reklamy i kradzieży własności intelektualnej, to byłoby spoko. Ale tak się nie stało. Po raz kolejny bracia zostają pokrzywdzeni przez scenarzystów, ponieważ Mane 6 ich nie lubią. A wszystko zaczęło się od tego, że ich maszyna lepiej robiła cydr niż rodzina Apple. Rzecz w tym, że we Friendship University naprawdę dałoby się sporo na nich znaleźć.

The End in Friend

Nawet najbardziej różne kucyki mogą się ze sobą przyjaźnić, ponieważ... Yeeee... Uratują sobie zady i pomogą od czasu do czasu. I nawet najbardziej różni przyjaciele się ze sobą pogodzą, gdyż, ponieważ... W sumie to nie wiem, to jedna z tych mądrości życiowych typu „bo tak”. Bo magiczna przygoda to to, co czeka na dzieci w szkole. Nie daję okejki, naprawdę nie wiem, jak to niby ma działać.

Yakity-Sax

Błagam, nie. Po prostu nie. Ten odcinek uczy dzieci, że gra na wuwuzeli i wkurzanie nią wszystkich jest w porządku, jeśli sprawia Ci radość. Że gwałcenie uszu współlokatorów śpiewaniem piosenek disco polo jest ok. Ten morał należy wsadzić komuś w rzyć razem z białym fosforem i podpalić.

Jeśli ktoś chce grać na jakimś instrumencie, to ma dwie opcje: robić to tak, by nikt nie słyszał, lub znaleźć sobie nauczyciela. Pamiętajcie, jak złe było okłamywanie Celestii, że świetnie gra w teatrze? Bo ja tak. Tymczasem Pinkie Pie gra pięknie, bo to jej sprawia radość! Co z tego, że okoliczne zwierzęta popełniają masowe samobójstwa od tego hałasu... Ale tak, Mane Six, zamiast znaleźć przyjaciółce nauczyciela, wołały to przecierpieć. Dałabym temu klasyczne 2/10, ale to byłoby o dwa za dużo.



Road to Friendship

Trixie i Starlight ruszają w wielkie tournée do Saddle Arabii. W trasie ich przyjaźń zostaje wystawiona na próbę, ponieważ Starlight przewaliła budżet na głupoty i w dodatku sprzedała wagon Trixie za lepszy wóz. A morał z tego taki – rozsądnie zarządzaj pieniędzmi i nie ruszaj cudzych rzeczy, bo to chamstwo. W sumie to bardzo mądre. Aż szkoda, że nie pochodzi z pierwszych sezonów i nie kończy się listem do Celestii. No wyobraźcie to sobie:

Droga Księżniczko Celestio!

Dzisiaj nauczyłam się, że jeśli wydam wszystko na fast foody, to jutro nie zjem śniadania. A, i że przyjaciele mogą się wkurzyć, jeśli sprzedam ich rzeczy!

Twoja uczennica, Twinkle Sprinkle.

The Washouts

Hulajnóżka znajduje sobie nowych idoli, co nie podoba się Tęczółce. I stawia sprawę jasno – nigdy nie będzie latać. Cały odcinek próbuje pokazać, że RD jest dobra, bo zależy jej na bezpieczeństwie



RedPalette.SqaureSpace.com

Scoot, a Lightning Dust jest zła, bo po prostu chce mieć swoje show (i dokuczyć Dash), ale tak średnio to wychodzi. Otóż – Rainbow ewidentnie zależy na tym, by być uwielbianą i jedyną idolką. Problem nie zaczął się od „Ej, gówniaro, słuchaj no, za młoda jesteś na kaskaderkę”, tylko „Ale jak to fajniejsi niż ja i Wonderbolts?!”

Tak, powinniśmy się trzymać tych ludzi, którym na nas zależy, o czym The Washouts mówi wprost, ale ten odcinek jednocześnie tego nie pokazuje. Rainbow Dash jest, jaka jest, ale czy w ogóle przejmowałaby się Scootaloo, gdyby ta nie była jej zapaloną fanką? Wątpię. Gdyby klaczka dojrzała i stwierdziła, że nie jest fanką pegazich sportów, to ta przyszywana siostra by się zmyła. Może nie od razu, ale w końcu pewnie tak. Relacja tej dwójki jest dość toksyczna, jeśli się nad tym zastanowić – Scoot marzy o uwadze, której nie zapewniają jej zapracowani rodzice ani ciotki, które raczej sprawdzają, czy żyje i ma co jeść. A RD ma wiernego pieska, który zawsze cieszy się na jej widok i robi dla niej wszystko. Każda z nich chce być adorowana. Jedna dlatego, że jest osamotnionym dzieckiem, a druga dlatego, że jest atencyjną dziwką.

A Rockhoof and a Hard Place

Rockhoof postanawia popełnić samobójstwo, bo nie może się odnaleźć we współczesnej Equestrii, a jego wioska to teraz wykopaliska archeologiczne, więc nawet nie może tam wrócić, bo zniszczy

bezpieczne artefakty z własnej chałupy. Na jego miejscu zatłukłabym szpadłem tych archeologów. Może dlatego nie jestem pozytywną bohaterką z bajki dla najmłodszych. W każdym razie: Twilight bawiła się w pośredniak, ale w tym kraju nie było pracy dla kuców z jego wykształceniem. W końcu postanowił spróbować w swych sił w branży „dekoracja ogrodów i miejsce defekacji dla gołębi”, ale Yona go przekonała, że jest super, bo opowiada fajne bajki, jest duży, silny i śmierdzi. Tak jak jak.

A gdzie tu morał? Nikt nie jest bezużyteczny i dla każdego można znaleźć zastosowanie praktyczne. To bzdura. Zawsze pozostają coachowie i inni trenerzy osobiści – oni są bezużyteczni. Podobnie jak absolwenci kierunków humanistycznych. Nie no, z tymi humanami to akurat żartuję.

What Lies Beneath

Z tego odcinka nauczyłam się, że nie należy gadać do drzewa, bo zrobi Ci kolokwium. I zacznie się ruszać. I gadać – niekoniecznie po wietnamsku. Oraz że przyjaźń leży w naturze wszystkich rozumnych istot. Ale przede wszystkim – What Lies Beneath pokazuje dzieciom, że pająki są słodkie, urocze i pomocne. A to dobry powód, by zaaprobować płynącą z niego naukę. Kiedy nadejdzie czas plagi komarów oraz much, to pamiętajcie o kotkach z ośmioma nogami.

Sounds of Silence

Kiriny... Ehhh. Z jednej strony lubię ten odcinek, a z drugiej go nie cierpię. Obiektywnie był spoko, ale fandomowego szału na kiriny nie wspominam miło. Pod względem morału... Cóż, uważam, że tu się zupełnie nie sprawdził. Bo widzicie, wściekłe kiriny to niriki. I te niriki płoną i mają brzydką zdolność do fajczenia wszystkiego jak leci. Dlatego recolor Celestii kazał im wejść do Strumienia Ciszy, by nie było więcej kłótni i złości. Ale to nie było dobre, ponieważ nie możesz unikać śmiechu, gdyż boisz się odrobiny bólu! Odrobiny bólu. Odrobiny bó... Co?! Niriki spaliły całą swoją wioskę, to nie jest odrobina bólu. To jest raczej kategoria: klęski i tragedie. To jest jak rozmawianie o polityce podczas rodzinnego obiadu. Albo gorzej. W realiach kirinów to decyzja ich szefowej Rain Shine była całkiem rozsądna. Bo co, jeśli wkurzony nirik spali

cały las? Co, jeśli padną trupy? Czego to ma nauczyć dzieci? Ryzykownych zachowań?

Father Knows Beast

Jeden z najbardziej krindżowych odcinków w historii tego serialu. Spike poznaje swojego „ojca”, który go wykorzystuje i przerabia na niewolnika. Czyli robi to samo, co Mane Six, tylko jeszcze bardziej. Na szczęście wkracza Smolder, która wciela się w rolę starszej siostry i pokazuje Kolcowi, że starszy smok niczego go nie uczy, tylko jest dupkiem. Oczywiście, okazuje się, że to wcale nie był jego ojciec, a szkoda. Bo odcinek, choć nieprzyjemny, to pod względem dydaktycznym się sprawdza. Pokazuje, że jeśli ktoś cię wykorzystuje, to powinienes go kopnąć w rzyć. Nawet jeśli to twoja rodzina. Problem w tym, że Sludge nie był spokrewniony z Bolcem. Tylko dlaczego? Bo to by było za mocne? Toksyczny rodzic, który tylko wykorzystuje dziecko, a potem jeszcze ma czelność prosić o alimenty? Uważam, że odcinek, który pokazuje, że nie wszyscy biologiczni rodzice zasługują na miłość, byłby milion razy lepszy.

School Raze

Kanclerz Neighsay nauczył się, że bycie rasistą jest słabe. Mane Six nauczyły się, że są głupie. Albo i nie, bo one nigdy niczego się nie uczą. To po prostu kolejny finał, nie musi nieść żadnych nauk, tylko rozwałkę. Swoją drogą – kucyki zawsze dawały jakąś drugą szansę złodupcom, o ile miały taką możliwość. Czemu Cozy jest wyjątkiem? Luna dostała łomot i od razu jej wybaczone. Discord trafił na rehabilitację do Fluttershy, po której parę razy zdradził i odwał jakiegoś krzywe akcje. Sombra po prostu poległ. Tireka zamknęli ponownie bez dyskusji, może dlatego, że był zbyt potężny i średnio mieli na niego kontrę inną niż Rainbow Power (które pojawiło się raz i nigdy nie wróciło). Starlight została uczennicą Twilight. Do czego zmierzam – Cozy to żrebak. Pegaz. Nie ma magicznych mocy. Nie powinni jej złościć po zadku i wysłać do poprawczaka? Albo nauczyć przyjaźni? Nie, serio, czego to ma nauczyć dzieci? Że ta manipulanka Ania z 3B nigdy się nie zmieni i należy ją wsadzić do więzienia? Cóż, nie żebym była fanką wybaczenia Aniom z 3B i rozumiem, że są jednostki niereformowalne, ale Cozy Glow nawet nie dano takiej szansy. A to dziecko!





Wywiad z Victorią Luną

Użytkownicy MLPPolska znają ją, jako opiekunkę działu Twilight Sparkle, zaś w ET jest dosyć świeżym nabytkiem. Młoda rysownicza z mocnym temperamentem, która silnie skupia się na wykonaniu swojego zadania. Dziś mam przyjemność rozmawiać z Victorią Luną, którą możecie kojarzyć też pod nazwą: Antilia. Mam nadzieję, że ten wywiad przybliży Wam nieco kolejną artystkę z naszego redakcyjnego grona.

» Moonlight

Moonlight: Witaj Vic! Miło mi, że znalazłaś chwilę czasu, by trochę ze mną porozmawiać. Na początek, mogłabyś mi przybliżyć, jak długo jesteś już w fandomie?

Victoria Luna: Witam serdecznie! Samym serialem zainteresowałam się pomiędzy finałem III sezonu a początkiem IV. Który to był rok...? 2013 lub 2014? Jakoś tak. Natomiast fandom przykuł moją uwagę gdzieś po kwietniu 2016 – wtedy pod wpływem natchnienia narysowałam swojego pierwszego kucykowego arta, od którego wszystko się zaczęło.

M: O, to brzmi interesująco. Co tak bardzo przykuło Twoją uwagę w 2016, że zdecydowałaś się spróbować swoich sił w tworzeniu kucykowych fanartów?

VL: Był to czas premiery sezonu VI – Flurry Heart zrobiła furorę (choć nie do końca w dobrym kon-

tekście), więc wtedy naszła mnie myśl, dlaczego nie spróbować? Znalazłam szybko przybory, wzięłam czystą kartkę i narysowałam Twilight Sparkle w wersji niemowlęcego alicorna.

M: Twilight Sparkle w wersji alicorna-niemowlęcia... to brzmi dosyć odważnie, jak na pierwszy rysunek w swojej karierze. Zwłaszcza, że część fandomu nadal ma mieszane uczucia co do Twilicornia. Opublikowałaś wtedy gdzieś swój obrazek? Kiedy i gdzie zaczęłaś bardziej czynnie udzielać się w fandomowej społeczności?

VL: Tego dnia, kiedy zrobiłam rysunek, założyłam konto na DeviantArt'cie – stronie poświęconej sztuce. Obrazek nie zrobił furory – do tej pory ma jedno polubienie, ale dla mnie był to kamień milowy. Samym fandomem zainteresowałam się poprzez MLP Wiki oraz For Glorious Equestria. Pamiętam czasy czatu Wiki, gdzie zaczęłam się udzielać.

M: Każdy jakoś zaczynał, ale cieszę się, że niewielka, początkowa popularność nie zraziła Cię i teraz możemy cieszyć się Twoją sztuką. Czy przed tą konkretną pracą robiłaś coś więcej w kwestii rysowania? Tworzyłaś coś konkretnego przed kolorowymi taboretami?

VL: Rysowałam okazjonalnie – głównie kwiaty, zwierzęta, ludzi... Czasami bawiłam się w projektanta ubrań.

M: Uuu, projektowanie ubrań, uroczo! Czy wejście w świat kucykowych fanartów jakoś wpłynęło na tworzenie tych rzeczy, a może było na odwrót? Traktowałaś to na równi, czy jak w przypadku wielu artystów, tematyka mlp opanowała wtedy całkowicie Twoją twórczość?

VL: Bardziej to drugie. Wtedy bardzo skupiałam się na rozwijaniu swojego stylu oraz nauki anatomii pastelowych koni. Ludzie zauważyli mnie oraz doceniali moją twórczość i zaangażowanie, co bardzo korzystnie wpłynęło na moją wiarę w siebie. Zainteresowanie było tak duże, że czasami zamiast się uczyć, to tworzyłam nowe prace.

M: Czyli jednak udało Ci się wdrożyć w rysowniczy świat ze sporym powodzeniem. Jak to wygląda teraz? Dalej skupiasz się na pastelowych koniach czy próbujesz swoich sił w innym tematykach? Do tej pory prezentujesz swoje prace tylko na DA czy rozszerzyłaś działalność na inne strony?

VL: Teraz generacja IV zakończyła swoją historię, więc nie ma co zajmować się dłużej trupem, że tak to ujmę. Od dłuższego czasu planowałam zmienić branżę na coś innego. Myślałam o skupieniu się na tematyce ogólnej – ludzie, zwierzęta, natura, pejzaże; z dużym naciskiem na zwierzęta. Mitologiczne stworzenia są równie ciekawe – smoki, gryfy, elfy... Taki miks jest o wiele większym wyzwaniem od zwykłego psiaka czy kociaka, a co za tym idzie – większa frajda. Mogę zdradzić, że pracuję nad grafiką bestii do gry Nightwood, która niedługo wróci do życia po 10 latach nieobecności.

M: Czyli masz zamiar rozszerzyć działalność o bardziej różnorodnie i uniwersalne tematy, ale jednocześnie nie chcesz jednoznacznie porzucić czegoś, na co od kilku lat pracujesz. Brzmi rozsądnie. Wróć do drugiej części mojego pytania. Gdzie aktualnie najbardziej się udzielasz, jeśli chodzi o prezentowanie swojej twórczości i działalności stricte fandomowej? Mówiłaś coś o udzielaniu się na czacie kucykowej Wiki. Czy aktualnie można Cię znaleźć też na innych platformach dla fanów?

VL: Oprócz [DeviantArt'a](#) posiadam również konto na [Instagramie](#) oraz [Twitterze](#). Facebooka nie lubię, zwłaszcza, że ostatnio był niewielki wyciek danych. Ludzie, dzięki temu można było m.in. ustalić tożsamość Banksy'iego. To pewien angielski artysta, który ukrywa swoją tożsamość. Tworzy on niesamowity street art nawiązujący np. do globalnego ocieplenia, Brexitu lub innych spraw o charakterze międzynarodowym.

M: Nie dziwię się. Facebook jest moim zdaniem też zdecydowanie mniej intuicyjny, jeśli chodzi o zaprezentowanie swojej twórczości. Skoro już o innych artystach mowa, posiadasz jakichś ulubionych twórców, którymi się inspirujesz? Czyiś styl Cię szczególnie zachwyca?

VL: Moją idolką jest Neytirix. To australijska artystka, która studiuje, a przynajmniej ma taki status na DeviantArt'cie. W swoich początkach specjalizowała się w smokach, które obecnie nieco rzadziej rysuje. Podziwiam ją za pomysł, technikę oraz finalne wykończenia rysunków. Prowadzi również



kanał na Youtube'ie, gdzie udostępnia speedpainty swoich prac. To właśnie przez ten serwis trafiłam na nią. Najbardziej lubię prace wykonane techniką lineless, w której się specjalizuje. Przyznam się, że podglądam czasami w zwolnionym tempie jej filmy, by zobaczyć, jakich narzędzi używa i jak to robi.

M: Ostatnio też zaczęłam interesować się techniką rysowania bez obrysu, więc z pewnością skorzystam z Twojej rekomendacji! Skoro już o technikach mowa, nastał idealny moment na moje ulubione pytanie. Wiem, że tworzysz prace zarówno w sposób tradycyjny, ale też cyfrowy. Którą techniką preferujesz i czym tak właściwie Cię urzekła?



VL: Ciężkie pytanie... Uwielbiam obie techniki, więc nie umiem na to odpowiedzieć. Czasami mam ochotę pobrudzić się akrylem, pobawić się w miksowanie kolorami za pomocą kredek bądź markerów lub gdy mamy za oknem nieciekawą pogodę, chwytam swój ołówek i ćwiczę kształty bądź cienie. Natomiast gdy rysuję cyfrowo, wtedy stawiam na perfekcję, zabawę cieniami i kolorami, testowanie do woli różnych poz, bez obawy, że zużyję cenny papier... Wszystko zależy od wielu czynników – warunków atmosferycznych (jestem wrażliwa na ciśnienie), planach na dzień, przebytych rozmowach... Jest tego trochę. Wybieram to, na co mam ochotę – eksperymenty z przyborami, które mam w rękę z wiedzą, że kiedyś się skończą, więc być może jest to ostatnia praca przy ich użyciu lub nielimitowany przyborek z ekranu, który istnieje tylko na moim twardym dysku.

M: Zgadza się z Tobą, każda z tych technik ma swoje wady i zalety. Czasem dobrze jest nie dokładać sobie ograniczeń i korzystać z pełni możliwości, które umożliwiają tworzenie. Skoro już o kreowaniu mowa, propagujesz jeszcze jakieś inne formy wyrazu, oprócz tych plastycznych? Są to działania związane tematycznie z fandomem czy niekoniecznie?

VL: Ostatnio próbuję przejść na inne tematy, ale, na razie, tylko w kwestii rysunkowej. Zdradzę, że chcę poznać techniki modelarstwa czy szycia pluszaków, ale w tej kwestii mam na razie za mało informacji oraz niezbędnych przyborów/wiedzy, aby móc spróbować.

M: Hmm, moje kontakty podpowiadają mi, że udzielasz się też literacko. Powiesz mi na ten temat coś więcej?

VL: Owszem. Lubię czytać, a raz na jakiś czas napisać pewne krótkie lub dłuższe teksty. Miałam okazję brać udział w kilku edycjach „Pisania na Setkę”, które odbywają się na Klubie Konesera Polskiego Fanfika. W tym konkursie udało mi się zdobyć kilka nagród, w tym nawet pierwsze miejsce. Piszę też na własną rękę, ale na tę chwilę nie udało mi się wydać całej powieści. Mam kilka zaczętych projektów, ale nie sądzę, aby doczekały się końca.

M: Nie masz na nie pomysłu czy inne projekty przejęły palmę pierwszeństwa?

VL: Pomysł nadal jest, ale nie mam czasu, aby je ukończyć. Z biegiem czasu fabuła stawiała się coraz bardziej... dziecinna, jeśli mogę tak to ująć. Chcę się teraz skupić na innych projektach – obecnych i przyszłych.

M: Rozumiem. Dorastanie bywa okrutne, ale dobrze jest czasem spojrzeć krytycznie na swoje prace. Mówiliśmy już o tworzeniu, reklamowaniu i początkach przygody z kucami, a jak to jest ze spotkaniami z innymi fanami? Wiem, że zanim zaczęłyśmy razem tworzyć Semafor, pojawiałaś się już na krakowskich ponymeetach. Od kiedy zaczęłaś się udzielać na tego typu spotkaniach i jak często na nich bywasz?

VL: Pierwszym konwentem, na którym byłam, był Krakowski Ponymeet, chyba 12.6, o ile dobrze pamiętam. Wtedy spotkałam się z FirstChoisem, który był jednym z pierwszych bronych, jakich spotkałam – zarówno w środowisku internetowym, jak w życiu realnym. Byłam bardzo podekscytowana możliwością pójścia na takie wydarzenie. Bałam się też tego, jak tam będzie – czy mnie zaakceptują, czy polubią... Co ciekawe, w dniu wydarzenia rozchorowałam się wraz z mamą, która miała ze mną jechać (miałam około 14 lat), więc wyjazd stanął pod znakiem zapytania. Ostatecznie pojechaliśmy na dwie-trzy godziny. Było świetnie! Bardzo dobrze rozmawiało mi się z innymi i nie musiałam nakładać wtedy maski, ukrywając za nią swoje zainteresowania czy charakter. Ciekawa była sama podróż na meeta. Otóż wtedy nie było apek typu jakdojade.pl (albo były ale o tym nie wiedziałam xd), więc kierowałyśmy się instrukcjami zawartymi

na stronie wydarzenia. Biletomat, jaki był w autobusie, przyjmował jedynie płatności kartą. Jakże się wtedy pokłóciłam z mamą...

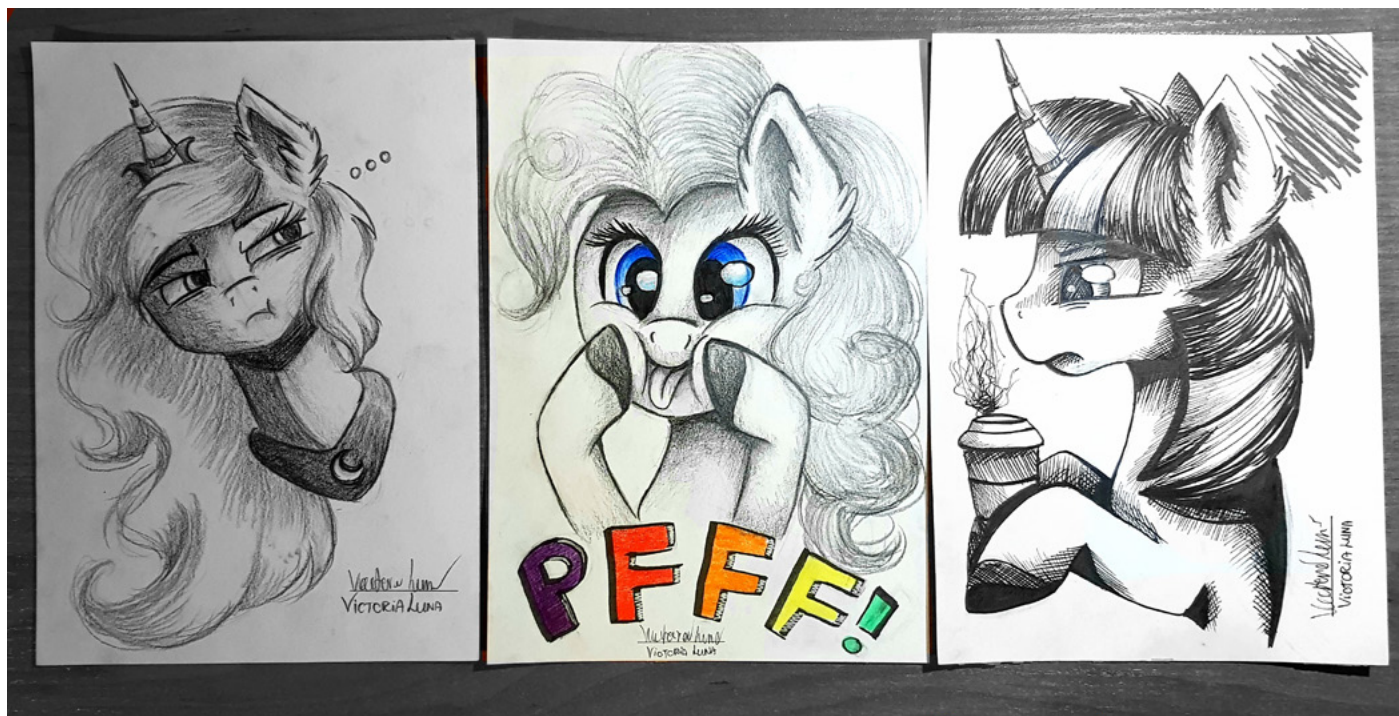
M: Od tego czasu, jak podchodzisz do ponymeetów/konwentów? To bardziej miejsce spotkań, upust emocji, sposób, by pokazać się innym, a może coś zupełnie innego?

VL: Przede wszystkim miejsce i czas, kiedy mogę być sobą. To również czas spotkań z moimi przyjaciółmi, którzy przyjeżdżają z różnych stron Polski, by miło spędzić czas przez te kilka godzin.

M: Oww, to urocze. Oby w takim razie było jak najwięcej okazji do takich spotkań! Skoro już o meetach mowa, jak w tym przypadku wygląda sprawa prowadzenia stoiska? Co skłoniło Cię, by pierwszy raz spróbować sprzedawać swoją twórczość na kucykowych spędach?

VL: Szczerze mówiąc, nie pamiętam (xd). Chciałam spróbować czegoś nowego i, nie powiem, chciałam co nieco zarobić. Bałam się zrobić taki krok sama, więc postanowiłam znaleźć inne artystki, które mogłyby wraz ze mną otworzyć stoisko. W przeliczeniu na jedną osobę koszty są mniejsze w porównaniu do prowadzenia stoiska samodzielnie.

M: Oj, z tymi kosztami to prawda. W grupie jest też znacznie łatwiej i przyjemniej, bo można się nawzajem wspierać. Jak w perspektywie czasu oceniasz ten krok, jesteś zadowolona? Co w ogóle czujesz podczas prowadzenia stoiska?



VL: Czuję się szczęśliwa, ponieważ robię to, co lubię – tworzę rysunki, a przynajmniej wtedy, gdy ktoś zamówi commission na miejscu. Jestem spod znaku Lwa, więc lubię być w centrum zainteresowania – ludzie oglądają prace moje lub moich przyjaciółek, rozmawiają ze mną i dyskutują na różne tematy. W dzieciństwie nie miałam koleżanek, z którymi mogłabym się bawić, a rodzice byli w pracy, więc zawsze musiałam bawić się sama. Teraz przynajmniej mam do kogo powiedzieć: „Kupuj nasz merch!”. Z perspektywy czasu czuję, że to dobra decyzja. Czasami zastanawiam się, jak by się potoczyło życie innych i moje, gdybym zdecydowała inaczej. Jakby nie patrzeć, dzięki temu znalazłam przyjaciółki, a nawet swoją drugą połówkę.

M: Skoro zarówno klienci, jak i sami wystawcy są zadowoleni, to raczej była to dobra decyzja. Skoro już poruszyliśmy temat „pracy”, masz już jakiś plan na przyszłość? Wiążesz ją ze sztuką czy masz też inne zainteresowania?

VL: Rysowanie traktuję jako hobby, z którego mogę zarobić trochę grosza. Obecnie uczęszczam do szkoły średniej o profilu technik weterynarii i planuję kontynuację nauki na profilu medycyny weterynaryjnej na uczelni wyższej. Od małego chciałam zostać lekarzem i uwielbiałam nauki ścisłe, zwłaszcza biologię i chemię, która w tym zawodzie jest bardziej niż wymagana. Mam nadzieję, że uda mi się dostać na studia, ponieważ jest dużo chętnych na ten kierunek.

M: Weterynaria brzmi jak poważne i ambitne plany. Mówisz, że chciałaś zostać lekarzem, co skłoniło Cię do wybrania drogi akurat lekarza weterynarii?

VL: Zostanie weterynarzem to moje dziecięce marzenie. Od zawsze lubiłam zwierzęta, a zwierzęta lubiły mnie, przynajmniej tak to pamiętam. Gdy byłam mała, chciałam mieć psa. Prosiłam mamę, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Na szczęście moja babcia miała owczarka niemieckiego. Trzy miesiące po moich narodzinach przyniósł go znajomy dziadków. Można powiedzieć, że się razem

wychowywaliśmy. Bary, bo tak miał na imię, stał za mną murem. Zdarzało się, że atakował ludzi, kiedy próbowali mnie dotknąć. Pamiętam też Tarzana – pięknego husky’ego pewnej pani, która mieszkała niedaleko mnie. Zawsze na wszystkich szczekał, a tylko mi dawał się pogłaskać przez siatkę. Ogółem moje życie obraca się wokół zwierzątek, głównie psów, które uwielbiam. Szybko dodam jeszcze, że weterynaria ładnie się łączy z malarstwem, bo nie będę musiała kupować schematów części ciała/układów itp.

M: Zawsze miło, gdy praca może wiązać się z naszą pasją, więc życzę Ci powodzenia w tej drodze. Skoro już pracę mamy omówioną, to może wspomnisz coś o tym, co lubisz robić w czasie wolnym?

VL: Oprócz rysowania lubię się uczyć, spędzać czas aktywnie albo z moimi pupilami lub łączyć te dwie rzeczy. Lubię też posłuchać muzyki i się wyszaleć, ale czasem wolę usiąść z kubkiem zielonej herbaty i delektować się książką w ciszy. Są dni, w których nie sposób odciągnąć mnie od lektury.

M: Masz może jakiś ulubiony gatunek literatury lub konkretne książki, które polecasz?

VL: Ostatnio myszkuje na półkach z kryminałami, ale moje serce należy do komiksów i fantastyki. Jest wiele książek, które chętnie bym poleciła, ale nie pamiętam wszystkich tytułów... Najbardziej zapadły mi w pamięć: „Arytmia” Anne(?) Holt, Trylogia „Draconis Memoria” Antony Ryan, „Star Wars: Ahsoka” E. K. Johnston, „Star Wars: Kenobi” J. J. Miller, „Star Wars: Nowy Świt” J. J. Miller, „Star Wars: Medstar- Chirurdzy Polow” i Michael Reaves, „(Marvel) Wojna Domowa” Stuart Moore, „SpiderMan- Wiecznie młody” Stefan Petrucha, Cykl/trylogia „Wirusy” Kathy Reichs. A to są tylko moi ulubieńcy.

Przy kilku tytułach chciałabym coś dodać. Po książki od Marvela radzę sięgnąć, gdy znamy uniwersum na tyle, by wiedzieć, kim jest Kingpin, Maggia czy dany Avengers (skład różni się nieco od tego filmowego). Co do „Wirusów” – mocno ubolewam,



że polski wydawca zatrzymał się na trzech pierwszych tomach, podczas gdy wydanych jest ich sześć oraz kilka półtomów...

M: Fantastyka, cudownie. Widzę, że w tym temacie byśmy się dogadały! Swoją drogą, Twój nick brzmi dosyć lunarnie... opowiesz mi coś na temat jego genezy?

VL: Nim zaczęłam udzielać się w fandomie, byłam kolejnym, bezimiennym widzem serialu. Pewnego dnia, gdy zakładałam swoje konto na Deviantarcie, myślałam, jak się nazwać. Nie chciałam żadnego nicku z cyferkami, ponieważ ich nie lubiłam. Dla mnie dodanie liczb nie zmienia nicku i nie uczyni go nagle oryginalnym. Chciałam połączyć siebie oraz coś, co lubię – kucyki i nie tylko. Wtedy wpadłam na pomysł połączenia mojego prawdziwego imienia (Wiktoria) z imieniem księżniczki Nocy – Luny. Słowo/imię Luna jest dosyć powszechne i ma wiele interpretacji – księżyc, rzymska bogini... Nie chciałam, żeby było kojarzone stricte z kucykami. Zdradzę, że ten człon mojego nicku nawiązuje do astronomii, która jest jednym z moich hobby. Pochwalę się też, iż posiadam teleskop (na sprzedaż).

M: Uuu... teleskop brzmi interesująco, jest co przemyśleć! Wiem też, że na niektórych serwerach używasz nazwy: „Antilia”. To imię Twojej OCKi, prawda? Opowiesz coś o niej?

VL: Kiedy już wybrałam swoje imię pozostała jeszcze jedna kwestia – ocek. Wbrew pozorom to wymagające zadanie, a zwłaszcza, jeśli chodzi o ponysonę. Osobiście luźno podchodzę do owego terminu, ponieważ wiem, że tego typu ocki muszą być w 100% naszym odzwierciedleniem. Tak jest w przypadku Antilii, ale jedynie w kwestii charakteru oraz zajęć, jakimi się zajmuje. Cała reszta to wytwór mojej wyobraźni.

Antilię zaczęłam projektować niedługo po swoich pierwszych rysunkach. Najpierw stworzyłam szkic pegaza. Nie chciałam jakiegoś tam alicorna, który byłby kolejny w kolejce do tronu. Nie chciałam też jednorożca, ponieważ ten gatunek nie pasował do mnie uosobieniem. Myślałam nad kucykiem ziemskim, ale ostatecznie wybrałam pegaza. Rasa ta idealnie mnie odzwierciedlała – wesoła, w gorącej wodzie kąpana i przede wszystkim uwielbiająca lenistwo. W kwestii wyglądu i palety kolorystycznej



kierowałam się swoimi osobistymi preferencjami – długie włosy, biała sierść, dwukolorowa grzywa i turkusowe oczy. Jestem wielką miłośniczką niebieskich barw i ich pochodnych. Jako ciekawostkę zdradzę, że wcześniej nie miałam przygotowanej żadnej palety. Tylko pomysł. Pamiętam moment, gdy wybierałam kolory w Paintcie... Dziwię się, że minęły już prawie 4 lata... Jak ten czas leci...

M: Oj leci, leci... Zwłaszcza, że zbliżamy się już do końca wywiadu. Chciałabyś dodać coś jeszcze? Masz jakieś specjalne słowa dla naszych czytelników?

VL: Myślę, że wystarczająco zanudziłam naszych czytelników. Osobiście nie mam nic do dodania :3

M: Oj, może nie będzie tak źle. Ja na pewno dziękuję Ci za rozmowę i życzę dalszych sukcesów!

VL: Dziękuję bardzo i nawzajem <3



Snowfall

22.02

Relacja ze Snowfallu

Katowice to dość ciekawe miasto – wygląda trochę jakby ktoś skleił ze sobą dwudziestopierwszowieczną metropolię z mnóstwem miasteczek za pomocą gęstej sieci krętych dróg, po czym wysypał tam bardzo dużo ludzi. Jak na dużą aglomerację przystało, posiada ona dość żywy fandom organizujący duże wydarzenia w postaci Snowfall Ponymeeetu, który odbył się 22 lutego w filii „Dąb” Miejskiego Domu Kultury „Koszutka”. Wybraliśmy się na nie wraz z Semaforem w towarzystwie naszego emocjonalnego wsparcia. Teraz zaś, w dobie siedzenia w domu z uwagi na zagrożenie epidemiologiczne, postanowiliśmy podzielić się naszą relacją z czytelnikami.

» Redakcja

Relacja od Porcelanowej strony. (Porcelanowy Okular)

Moje szczęście do meetów chyba zna każdy, kto ze mną planuje się spotkać na miejscu – nigdy nie jestem na czas. 22 lutego też nie był wyjątkiem! Chociaż sama byłam zdziwiona, że mimo moich starań udało mi się przybyć później, niż planowałam. Wskoczyłam razem z Pisklakozaurem w naszą lojalną i (nie)zawodną Multiplę już w piątek, aby dotrzeć na czas. Jak nam się udało tego nie dokonać, to nawet Celestia nie wie... ale mniejsza z nudnym przyjazdem! Czas dodać nieco pikanterii i opowiedzieć jak to było na samym meecie! Z mojej perspektywy, meety równają się kilkugodzinnym

posiedzeniom przy stoisku. Tak, na pewno tego właśnie jesteście spragnieni!

Gdy przybyliśmy na miejsce przeznaczenia, naszym oczom ukazał się Dom Kultury „Koszutka”, w którym to miał odbyć się meet. Powiem Wam, że byłam nim naprawdę zachwycona z tego względu, że było tam przestronnie, wpadało dużo światła i wszystko było schludne (w przeciwieństwie do naszego hostelu...). Oczywiście, szerokie korytarze podbiły moje wystawowe serce, ponieważ nie musiałam przeciskać się pod moim stołkiem, by pójść gdziekolwiek. Rejestracja była, moim zdaniem, najgorszym punktem całego wydarzenia, ponieważ dość długo zajęło orgom wyszukanie mojego imienia z listy, a także nie otrzymałam upominków za wejściówkę premium tuż przy wejściu, tylko musiałam o nią sama się upomnieć... Jednakże, czym jest chwila rejestracji w porównaniu do całego meeta, który w większości przesiedziałam w jednym miejscu? Oj, coś czuję, że bardzo spodoba się Wam moja relacja!

Po otrzymaniu identa chwyciłam mojego przyjaciela Neij'a pod pachę i ruszyliśmy rozpakowywać kucykowe fanty z samochodu. Snowfall w mojej karierze był naprawdę przebojowy pod tym względem, ponieważ rozłożenie towaru zajęło mi jakieś 10-15 minut, a nie dłużej, jak to zwykłam robić. Wynikło to zapewne z uprzedniego przygotowania się w domu, które, jak widać, opłaciło się! Ha, i że niby to ja jestem nieporadnym młodym dorosłym?! Reszta Semaforu (objazdowej grupy artystycznej, której

jestem częścią) już była w centrum zainteresowania konwentowiczów, dlatego kociółek był u nas niemały, a kiedy przyjechał ktoś nowy z czymś... nowym, to ludzi jeszcze bardziej do nas ciągnęło, za co wszystkim naszym klientom gorąco dziękujemy! Rodzimych biedaków-artystów wspieracie, chwała Wam za to. Kucykowi konsumenci mieli z pewnością duży wybór w tym roku, ponieważ łącznie ze mną zjawili się siedmioro wystawców! A ludzie gadają, że coś tam, fandom umiera?

Poza tym całym jakże fas-cy-nu-ją-cym siedzeniu i sprzedawaniu kucykowego szpeju, miałam okazję podnieść swoje płocidło i ruszyć z nim w kierunku sali, w której odbywała się muzyczna prelekcja prowadzona przez mojego kumpla Altiusa Volantisa. Obiecałam mu, że na niej będę, dlatego moim obowiązkiem było zjawienie się i wysłuchanie tego, co przygotował dla zdezorientowanej widowni, a przygotował coś, czego nie zapomnę do końca życia. Początek prelekcji był dość standardowy – odsłuch utworu specjalnie przygotowanego na sam Snowfall, ma się rozumieć (jest dostępny na kanale Altiusa na YouTube) oraz omówienie jego produkcji, krótkie QNA, wszyscy to znamy. Po tym jednak Altius przeszedł do muzycznego seta, czyli czegoś w rodzaju uprzednio przygotowanego muzycznego mixu różnych kucykowych kawałków. Jak to porządnemu wodzirejowi wypada, zaprosił wszystkich do pływania i skakania, co (ku mojemu gargantuicznemu zdziwieniu) zaowocowało istną kucykową potańcówką! Wszystko to dzięki kochanej drużynie naszych wspólnych znajomych. Ja, razem z Betonowym Jeżem i Sophiosem Phronesisem, jako pierwsi poszliśmy w tany. Naszym śladem poszedł sam SPI-DIVONMARDER, a za śladem legendy – cała reszta. Muzyka była energiczna, skoczna i tworzyła niesamowity nastrój. Nie było to zwykłe „umc umc umc” jak w tanich klubach w mrocznych zakamarkach miast, a raczej coś, co wybudzało w nas wszystkich wewnętrzne dziecko, które pragnie doskoczyć aż do chmur i je złapać. Słowem – zabawa była przednia! Pod sam koniec chyba jednym okiem zauważyłam, jak Altiusowi spocły się oczy, ale może to tylko moja wyobraźnia... Hugi dla wszystkich na koniec i trzeba było się zwijać, bo lada moment miała nadejść aukcja charytatywna!

Za każdym razem, ilekroć jestem na kucykowym meecie, jaram się jak Biblioteka Aleksandryjska

na myśl o aukcji charytatywnej. Bo widzicie, to nie jest tylko wydarzenie, które pozwala Wam zdobyć epickie kucykowe smakołyki. To, proszę Państwa, jest rozrywka pierwszej klasy! Niesamowicie czarujący TK w roli prowadzącego, uroczy i zabawny pomagierzy (pозdrowienia dla The Silver Cheese!), zapierające w dech piersiach kucykowe dobra oraz kluczowy element... widownia. Bez licytatorów to wydarzenie nie byłoby tym, czym jest. Zapal każdego z broniaków, którzy chcą położyć swoje śliskie łapki na futrzastym pluszaku Flutterbat, bądź na ręcznie malowanej koszulce z Księżniczką Luną jest czymś bezcennym. W połączeniu z ich szczodrością (a raczej – świetną płacą) skutkuje to niepowtarzalnym widowiskiem, przy którym nawet postronni wyczekują rozstrzygnięcia. W tym roku uczestnicy Snowfalla bawili się na aukcji tak dobrze, że gdy skończyły się fanty na licytację, sami dorzucali coś od siebie i namawiali do tego innych. Doszło nawet do tego, że sprzedane zostały puste kartony, w których orgowie trzymali fanty na licytację. Takiego czegoś nie doświadczyście nigdzie indziej!





wia mi to przyjemność, niesie za sobą korzyści, jednak nie jest to dla mnie tą wyjątkową rzeczą, dla której przemierzam setki kilometrów. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że moja relacja nie zawiera dużo informacji o samym meecie i nie uważam, że na jej podstawie należy oceniać to wydarzenie. Jednak jeśli ktoś uznał, że dzięki mojemu krótkiemu opisowi warto zajechać na Snowfall w przyszłym roku, to mogę spokojnie powiedzieć, że moja misja zakończyła się sukcesem. Nawet jeśli jakiś meet jest jednodniowy, uważam, że warto, w miarę finansowych możliwości, oczywiście, zjawić się na nim i wyluzować w kucykowym stylu. Lata mijają, dni zlewają się ze sobą w jedną szarą papkę, a takie wydarzenia są czymś, co zostaje w naszych głowach i sercach, mieniąc się kolorami tęczy i takich wspomnień powinno być jak najwięcej. Ciekawa jestem jak wypadnie kolejny konwent w 2020 roku!

Po ekscytującej aukcji charytatywnej nastąpiło ogłoszenie wyników wszelakich konwentowych konkursów, a następnie wszyscy ustawiliśmy się do zdjęcia grupowego. Po tym niestety zabawa się skończyła i wszyscy musieliśmy zwijać manatki, ponieważ meet był jednodniowy. Widziałam jednak, że wszyscy opuszczają budynek z uśmiechem na twarzy i starają się przedłużyć trwającą chwilę. Po opuszczeniu budynku przez kilka chwil konwentowicze stali w pobliżu niego, bądź na parkingu i rozmawiali ze sobą, wspólnie się śmiali i robili pamiątkowe zdjęcia – jeden z widoków, dla których warto żyć. Czas rozłąki jednak nadszedł, musieliśmy spakować swoje graty i zajechać do hostelu razem z Altusem, by się zameldować. Uprzednio jeszcze skoczyliśmy do pobliskiego centrum handlowego coś zjeść, a tam spotkaliśmy część organizatorów, min. Mielcara i wcześniej wspomnianego Cheese'a, z którymi naprawdę miło się rozmawiało. I to wszystko. Następny dzień co prawda kontynuowałam w asyście drużyny wiernych kompanów, jednak uważam, że nie ma to związku z samym meetem.

Czy było warto? Pomimo opóźnienia, fatalnego hostelu i katastrofy związanej z powrotem – zdecydowanie tak. Spotkanie ze znajomymi wynagrodziło mi, jak zawsze zresztą, to wszystko. Na meety jadę głównie dla moich przyjaciół i reszty fandomu, a prowadzenie stoiska traktuję jako pracę – spr-

Snowfall widziany z Księżycą (Victoria Luna)

Pierwszy kwartał meetowy dla mnie oraz dla reszty Semaforów rozpoczął się 22 lutego, gdzie w Katowicach odbył się Snowfall 2020. Był to średniego rozmiaru konwent, a przynajmniej według moich kryteriów. Mimo to zabawa była przednia, podobnie jak moje zyski, nieskromnie mówiąc... Sam meet zaczyna się jednak dla mnie wcześniej, ponieważ pierw należy się do niego przygotować.

Przygotowania polegały na stworzeniu kilku(nastu) różnych rysunków, każdy z innej bajki (dosłownie). Postanowiłam też zrobić pierwszy, prawdziwy test kredek Polycolor Hardmuth od Koh-I-Noora. Oraz innych przyborów czeskiego producenta. Sprawdzian polegał na sprawdzeniu jakości pigmentu zawartego w kolorowym rdzeniu kredki na kolorowych kartkach. Test wypadł od w miarę zadowolającego efektu do myśli, że to dobrze zainwestowane pieniądze (ok. 130 zł). Efekty tej pracy zostały w $\frac{2}{3}$ sprzedane na stoisku. Pracy było sporo, ale zarobku również.

Dzień samego meeta zaczął się dla mnie bardzo wcześniej, bo gdzieś ok. 5 rano. Rzadko zdarza mi się wstawać przed wschodem słońca, więc można powiedzieć, że byłam wtedy chodzącym zombie. Najgorzej było jednak ogarnąć niektóre rzeczy,

ponieważ nie jestem sama w mieszkaniu. Moja mama nie znosi, kiedy ktoś zapala światło w nocy, ponieważ przez to się budzi. Także część elementów z kategorii poranna toaleta musiałam zrobić po ciemku lub użyć latarki w telefonie. Ale i tak ją obudziłam. Kiedy spakowałam śniadanie oraz inne rzeczy, które trzeba było zabrać na końcu, byłam gotowa do wyjścia. Mama akurat zabierała się do porannej kawy, więc wymieniałam z nią kilka zdań na do widzenia i wyszłam na autobus. Po kilku minutach stania na lutowym (nie)mrozie wsiadłam do wybranej linii empeka. Następny przystanek – Dworzec Autobusowy w Krakowie. Tam spotkałam się z przyjaciółką i moim chłopakiem – Moonlight i Catkittym. Razem kupiliśmy bilety i wsiadliśmy do autobusu kierującego się do Katowic. Podróż minęła szybko – wymieniliśmy się plotkami, uwagami oraz pożartowaliśmy. Po ponad godzinie jazdy autostradą dotarliśmy do katowickiego Dworca PKS. Przyznam się, że gdy zobaczyłam dworzec... a raczej jeden budynek... to nie mogłam powstrzymać parsknięcia. Nie chcę urazić mieszkańców stolicy Górnego Śląska, ale nie spodziewałam się pojedynczego budynku z blachy i niewielkiego placu parkingowego. Nie ocenia się książki po okładce... Korzystając z chwili, skończyliśmy we trójkę do Żabki po kilka rzeczy. Ja wybrałam kubek cappuccino, ale automat nie chciał współpracować, więc musiałam wybrać gorącą czekoladę. Była ultrastodka, ale przynajmniej ciepła. Na przystanku spotkaliśmy krakowską delegację – Pingwinową, Aylish i TK. Razem udaliśmy się na miejsce spotkania. Dziewczyny z D'n'A oraz ich towarzysze prowadzili. Byłam w małym szoku, kiedy dotarliśmy do Galerii za Szybą, gdzie zaczynał się Snowfall. Zazwyczaj meety odbywają się w szkołach czy też bursach, więc byłam mile zaskoczona, że w takim miejscu odbędzie meet. Weszliśmy do środka i ustawiliśmy się w kolejce do akredytacji. Po przedstawieniu się poszliśmy do głównego holu i naszego stanowiska, aby rozłożyć merch oraz ogarnąć miejsce pracy. Na szczęście tym razem, wyciągając wnioski z poprzednich meetów, wzięłam nieco mniej rzeczy oraz przygotowałam cennik wraz ze wzornikiem swoich prac. Szybsze wypakowanie i mniej bałaganu. Plus dodatkowe punkty za estetykę. W końcu akredytacja zostaje otwarta...



Sądziłam, że Snowfall nie należy do dużych zgromadzeń bronies w Polsce, ale nie miałam racji. Poza Kucykonem nie widziałam tak dużo fanów kucyków Pony w jednym miejscu (zdjęć z Bronyconu nie liczę). Albo to było złudzenie optyczne, ponieważ Galeria, w której odbywał się ten konwent, nie była duża, a między zaplanowanymi atrakcjami przewijało się mnóstwo osób. Niemniej jednak było mnóstwo znajomych twarzy – Polineks, Sun, Nekro Spyro... oraz wiele innych. Miałam też okazję poznać kilka nowych osób, z którymi zagadałam się na co najmniej godzinę. Zauważyłam kilka osób, które były lekko speszone i zawstydzone, co świadczyło, iż to ich pierwszy konwent. Kiedy podeszły do naszego stoiska, przywitałam się i porozmawialiśmy chwilę. Sama pamiętam jak wyglądał mój pierwszy konwent. Miałam szczęście, ponieważ na konwencie byli moi znajomi, którzy wyjaśnili mi co i jak oraz poznałam ich znajomych, dzięki czemu poszerzyłam listę osób, z którymi mogę normalnie rozmawiać. Po naszej pogawędce lekko się rozluźnili i ruszyli dalej, polując na fanty z tego wydarzenia. Przez większość czasu była cisza, nie licząc melodii piosenek z sali karaoke czy głosu osoby prowadzącej prelekcje. W samej sali głównej oprócz Semaforu czyli mnie, Paprotki, Moonlight i Kruszynek była jeszcze Iruś ze swoimi (boskimi) naklejkami oraz Pingwinowa i Aylish. Nie widziałam innych wystawców, ale podejrzewam, że mogło być jeszcze

jedno lub dwa stoiska. Większość czasu spędziłam przy swoim stanowisku, ale skorzystałam z kilku minut przerwy, żeby rozprostować nogi i zobaczyć, jaką ofertę mają inne artystki. Bardzo czekałam na spotkanie z Irsu, ponieważ ma świetne naklejki, a tych mi ostatnio zabrakło... Skusiłam się na kilka wzorów, wykupując nawet ostatnie sztuki. Szczęśliwa wróciłam do siebie i pochwaliłam się Catowi oraz Moon swoim łupem. Kiedy nie było żadnego ruchu, zjadłam drugie śniadanie, które obudziło moją mamę i wróciłam do surfowania po Twitterze, Instagramie i innych social mediach na topie. Przy okazji nadrobiłam braki na YouTube. W międzyczasie do stoiska podeszły znajome mi osoby. Akuma zamówił już raz u mnie rysunek, a dokładnie na Ambermeecie. Zapamiętałam go głównie przez to, że cosplayował jednego z członków zespołu KISS, podobnie jak jego towarzyska. Tym razem był bez żadnego przebrania, ale jego dziewczyna (Akuma, jeśli to czytasz, to strasznie Cię przeproszam, jeśli podczas czytania ostatnich fragmentów dostałeś załamania nerwowego). Zdecydowała się tym razem na Applejack z Equestria Girls. Kostium na piątkę z plusem. Tak, jak ostatnio, poprosili mnie o narysowanie ocka, lecz tym razem innego. Po omówieniu szczegółów wzięłam się do pracy. O rysunek poprosił również Red, którego swoją drogą również pozdrawiam. Czas mijał i nieuchronnie zbliżaliśmy się do końca meetu, ale również

wisienki na torcie – aukcji charytatywnej. Uwielbiam je z powodu niepowtarzalnych komentarzach prowadzącego. Był nim TK, więc o nudzie nie było mowy. Przyznam się, że lekko zazdroścę mu pewności siebie oraz nieskończonej ilości pomysłów na cięte komentarze lub śmieszne docinki z jego strony. Trzeba dobrze czuć się w takiej pracy, ale przede wszystkim – mieć talent. Licytacja minęła bardzo fajnie i, niestety, bardzo szybko. Prawie zdarłam so-

bie gardło, próbując przekrzyczeć resztę broniaków. Kilka razy na szczęście się udało, a gardło bolało mnie już wcześniej... Mój obraz został sprzedany za 220 zł, co mnie bardzo ucieszyło. Fanty dziewczyn również trzymały poziom i poszły za podobną kwotę. Najdrożej został sprzedany rysunek od Irsu wykonany tuszem. Nie miałam okazji się przyjrzeć, ale z daleka widać było dbałość o szczegóły. Po oficjalnym zakończeniu Snowfalla byłam gotowa do wyjścia na jeszcze jedno spotkanie, tym razem w mniejszym gronie.

Podsumowując – Snowfall 2020 był bardziej niż udanym meetem. Dodatkowym plusem była bliskość i szybka podróż – godzinna jazda autostradą autokarem. Nie musieliśmy szukać miejsc do noclegu, więc mogliśmy wrócić od razu do domu. Bonusem dla mnie było również spotkanie z przyjaciółką Cata, która mieszka w Katowicach. Jednym słowem – oby więcej takich chwil!



O kocie, który jeździł koleją (i tramwajem, i autobusem...) (Cat-kitty)

Gdy Moonlight spytała m.in. moją osobę o to, czy piszemy czterostronną relację ze Snowfallu, od razu pomyślałem, co takiego właściwie miałbym do opowiedzenia. Faktycznie więcej mojego czasu poświęciłem na dojazdy i przejazdy, aniżeli na faktyczny pobyt na wydarzeniu, a gdy już się tam znalazłem, to moja aktywność była dość... stacjonarna. Niemniej moje niezaprzeczalnie skore do dobroci serce w dobie „koronaferii” wytrącających mi wymówki z ręki (no, w sumie terminów wysłania raportów na projekty z Sieci korporacyjnych i Realizacji projektu informatycznego nam nie odwołali...) w końcu przekonało mnie do opisanie mojej jakże mało istotnej, sprowadzającej się głównie do bycia wsparciem emocjonalnym dla swojej dziewczyny, z którą jestem już od pół roku, a którą jest Victoria Luna, oraz dla – w dalszej perspektywie – naszej kumpeli-dobrodziejki Moonlight, bytności na wydarzeniu oraz wspomnieniu kilku drobnych kwestii sprzed niego i po nim, które są z nim związane

jedynie kwestiami logistycznymi – bo na pewno nie tematyką. I cyk, już przekroczyłem 140 wyrazów, jednocześnie nie przekazując praktycznie żadnej treści! Ta umiejętność zapewne przyda mi się w tym roku, gdy będę pisał swoją pracę dyplomową o uprawianiu pomidorów.

Mój snowfallowy weekend zaczął się (a przynajmniej tak twierdzi jeden z moich arkuszy programu Microsoft Excel) w piątek po godzinie dziesiątej, kiedy to odziany odpowiednio do pogody, niosąc na ramieniu przepełnioną torbę sportową młodszego brata, od którego ją pożyczyłem gdzieś na początku roku, opuściłem po taktycznym noclegu dom rodzinny, żeby przeczłapać dwuipółkilometrową trasę do najbliższego przystanku Komunikacji Miejskiej w Tczewie. Po podjechaniu na dworzec wskoczyłem do pociągu kategorii IC, w którym spędziłem następne siedem godzin obok miłej starszej pani, która w podobnym czasie co ja poszła do wagonu gastronomicznego, więc w sumie miałem nawet z kim porozmawiać. W końcu dojechałem do pewnego dużego miasta na literę K, znanego z niskiej jakości powietrza i wysokiej jakości fandomu. Chodzi oczywiście o Kraków.

Ale jak to Kraków? Przecież Snowfall jest katowickim meetem! No niby tak, ale z racji dość znacznej odległości pomiędzy moim ośrodkiem życia a szeroko pojętym Południem żaden mój wyjazd na wydarzenie w tym

drugim obszarze nie może się obejść bez co najmniej jednego noclegu. W Katowicach w sumie nie znałem nikogo zdolnego mnie przechować, za to w Krakowie Moonlight była bardziej skłonna to uczynić, a poza tym miasto to stanowi dla mnie bardzo wygodny węzeł transportowy w przypadku wszelkiej aktywności na południu kraju. Po kilku minutach



błądzenia w obrębie dworca znalazłem w końcu tunel krakowskiego metra i wstąpiłem na pokład tramwaju, dzięki któremu w niecałe pół godziny dostałem się do domu Cioci Moon.

Gospodyni nakarmiła mnie (Magpie'a czeka naprawdę szczęśliwa przyszłość), po czym pokazała mi, gdzie są nożyczki oraz arkusze z wydrukiem naklejek mojej ukochanej. No ej, chyba nie jechałbym do kogoś się nażreć i wyspać, i nic nie dać od siebie w zamian. Z Moonlight żeśmy fejno rajcowali po naszymu i bawiliśmy się ostrymi narzędziami gdzieś do godziny 1:00, po której to każde z nas się ogarnęło i poszło spać, by następnego ranka być w stanie w miarę wcześnie wstać na tramwaj. Gdy po zbyt krótkim śnie trafiliśmy tramwajem na dworzec autobusowy, gdzie dołączyła do nas moja najważniejsza atrakcja, zaprowadziłem dziewczyny do kasy i odpowiedniego autobusu, który w przeciągu siedemdziesięciu minut spędzonych na ożywionej rozmowie i (z tego, co mi Vic zrelacjonowała) niezbyt wygodnym dosypianiu zakończył swoją trasę na katowickim dworcu PKS,

w którego niski standard współtowarzyszki nie chciały mi uwierzyć na słowo przez cały czas trwania podróży. Po krótkim żabkowym śniadaniu dziewczyn poleciliśmy na przystanek górnośląsko-zagłębiowski ZTM-u, gdzie spotkaliśmy grupkę znanych przez Moon i Vic, przeze mnie zaś kojarzonych z twarzy bronies, z którymi wspólnie pojechaliśmy do miejsca wydarzenia – filii Miejskiego Domu Kultury „Koszutka”.

Na miejsce dotarliśmy na pół godziny przed otwarciem tak, by Semafor miał wystarczająco dużo czasu na rozstawienie swojego interesu. Sam dom kultury zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie – nie był ogromny, a jednak przestronność korytarzy była jego wielkim atutem, w szczególności w porównaniu z pewnymi innymi polskimi złotami kucowymi, na których miałem zaszczyt się znaleźć w przeciągu ostatniego roku. Po przywitaniu się z SilverCheesem i ominięciu akredytacji (chyba pomyśleli, że jestem artystą xD) miałem okazję rozejrzeć się po ośrodku oraz odrobinę pomóc w rozstawieniu się dziewczynom (oczywiście nie potrzebowały żadnej pomocy – jak zawsze świetnie radziły sobie same). Od Suna odebrałem wcześniej umówione kilka paczek panzerwafli oraz zrobiłem rundkę po artystach, od których nabyłem za-

pas naklejek i magnesów.

Gdy już akredytacja ruszyła o godzinie 10:00, przywitałem się z moimi kolegami z Tribrony i Bronies Twilight. Ci drudzy byli istotnie zaskoczeni moją obecnością. MK nawet miał mi poniekąd za złe to, że mu wcześniej nie napisałem o swojej wyprawie, bo miał mi kilka fundacyjnych przedmiotów do przekazania. Jakoś nie uznałem wtedy za ważne tej kwestii z uwagi na fakt, że przez większość tygodnia przebywamy w tym samym mieście. Teraz z racji pewnej ogólnoświatowej pandemii jest już niestety na to trochę za późno. Tak czy siak przywitałem się ze wszystkimi sobie znanymi twarzami, poszedłem na otwarcie, podpisałem się na promocyjnym banerze i wróciłem do ławki ułożonej pod ścianą, tuż za rozległym stoiskiem Semaforu, na które składał się towar Kruszyny (oraz gorszące oczy moje i jakiejś starszej kobiety, która



przybyła na wydarzenie ze swoim małym wnuczkiem, produkty jej znajomego prezentujące dość wątpliwe treści), Moonlight, Victorii Luny oraz wolne miejsce oczekujące przybycia Porcelanowego Okularu. I tak upłynął wieczór i poranek.

Po kilku krótkich godzinach mojego kręcenia się po ośrodku (łącznie z chwilowym epizodem pilnowania stoiska Irsu), rozmawianiu ze znajomymi i nieznanymi oraz zwracaniu głowy Moonlight, nuceniu z nią melodii z Króla Lwa i jak najmniej inwazyjnym rozpraszaniu Vic zaczął się zbliżać magiczny czas turnieju karaoke, do którego warto było się przygotować. Poszedłem na sam koniec korytarza, gdzie znajdowała się odpowiednia sala, po czym kilkoma utworami w towarzystwie w sumie kilkunastu innych bronies rozgrzałem swoje gardło i przeponę oraz w przerwie technicznej zapewniłem Munmunmun, że tym razem nie zgłosiłem jej do turnieju. Po trzech etapach śpiewania nastąpił trzyosobowy finał, do którego trafili Cumill, ja i Andelai. Stało przed nami wyzwanie zaśpiewania razem trzech utworów, w których niełatwo jest wykazać się swoimi umiejętnościami (bardzo krótkich lub w większości rapowanych). Po zsumowaniu punktów za każdy z nich kolejność na podium zaprezentowała się dokładnie tak, jak napisałem dwa zdania temu. Prowadzący tę atrakcję MK pogratulował naszej trójce i zapewnił, że żadnych nagród nie przewidziano. Wróciłem do semaforowego kramu, gdzie dziewczyny były poniekąd zdziwione tym, że tak długo mnie nie było. Tam też z przerażeniem dowiedziałem się, że moja luba zgłodniała, więc pędem poleciałem do najbliższej Żabki po dwie zapiekane bagietki, które zjedliśmy chwilę później. Gdy już otrzepaliśmy się ze wszystkich okruszków, rozpoczęła się aukcja charytatywna. Jak to na każdej dużej kucowej aukcji bywa, prezentowane przez TK i i SilverCheese'a przedmioty były bardzo zróżnicowane, od starych kalendarzy, przez identyfikatory z minionych wydarzeń, po pudełka z cukierkami. Bardzo dużym wzięciem cieszyły się wszelkiej maści dzieła sztuki plastycznej. Niestety każdą moją ofertę udało się komuś przebić, więc gdy już aukcja się skończyła, opuściłem salę z pustymi rękami.



Wraz z Vic i Moon sprawdziliśmy odjazdy autobusów miejskich i podjęliśmy decyzję o zwinięciu interesu oraz udaniu się w podróż powrotną. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi, których mieliśmy w zasięgu wzroku, dotarliśmy na przystanek, stamtąd znów na dworzec autobusowy, gdzie zakupiliśmy bilety do Krakowa oraz pożegnaliśmy się z Moonlight, która w ostatniej chwili wskoczyła na pokład pojazdu.

Mnie i Vic czekało tego wieczoru jeszcze związane ze spożywaniem pizzy spotkanie z moją najlepszą kumpelą, która mieszka w Katowicach i jest kryptopegasis, oraz jej chłopakiem, późnowieczorny powrót do jej domu, zaśnięcie w trybie natychmiastowym, późne obudzenie się oraz pędzenie następnego dnia na mój pociąg powrotny.

Następnego dnia napisał do mnie SPIDIvonMARDER, że ma moją nagrodę za drugie miejsce w turnieju karaoke. Okazało się, że MK tylko żartował, zaś po aukcji w trakcie ceremonii zakończenia ludzie mnie szukali, ale ja już wtedy dawno byłem w katowickim autobusie. No nic.

Cały meet mi się podobał, choć jak można szybko wywnioskować z mojej relacji, nie korzystałem ze wszystkich jego atrakcji. W sumie nie korzystałem

nawet z połowy... Ale i tak podobała mi się zarówno atmosfera, jak i poziom organizacji, w szczególności rozplanowanie przestrzeni i zwinność akredytacji. Ponadto miałem okazję odświeżyć sobie co nieco Katowice, podtrzymać różne fandomowe znajomości, skorzystać z krakowskiego metra, zjeść obiad w Warsie i jak za każdym razem, gdy tam jestem, boleśnie przywalić kolanem w ciężki szklany stół kuchenny w domu Wiktorii. I see this as an absolute win. Polecam na przyszłość, lecz wciąż nie do końca rozumiem, co takiego ciekawego mogłem napisać. Teraz trzymajcie się ciepło i nie wychodźcie z domu bez ważnego powodu. Ja miałem bardzo ważny, ale jednak anulowałem bilety i zostałem na miejscu.

Więcej takich ponymeetów! (Moonlight)

Moje uroczę Misiaczki powiedziały już mnóstwo rzeczy na temat przyjazdów, stoiska i samej imprezy, więc tym razem moja relacja będzie bardziej minimalistyczna.

Zacznijmy od tego, że w końcu nauczyłam się czegoś na własnych błędach i tym razem nie robiłam wszystkiego na ostatnią minutę, co ostatecznie skończyło się tak samo, czyli brakiem wystarczającej ilości snu... Czy ja przypadkiem przed chwilą nie powiedziałam, że czegoś się nauczyłam? Nah, ja się nigdy nie nauczę, jak poprawnie się wysypiać.

Po przyjeździe na meet (pomijając wrażenia z katowickiego dworca autobusowego), zastała nas naprawdę dobrze zorganizowana grupa gospodarzy, którzy przedstawili nam od razu nasze piękne i pojemne stoisko. Naprawdę, pod względem miejsca na osobę, to był najlepszy meet, na którym Semafor oferował swoje wyroby, zważywszy na to, że to były tylko trzy stoliki na cztery osoby. Trzy piękne, długie stoliki, które pozwoliły na idealne wyeksponowanie naszego merchu. Chwała tym stolikom!

Sama lokalizacja wydarzenia była całkiem ciekawa, na pewno odbiegała stylistyką od standardowego szkolnego korytarza, co było miłą odmianą. Klientów też nie brakowało, mimo że sam meet nie był zbyt duży. Ten fakt na pewno napawa optymizmem, co do przyszłych wydarzeń, bo potwierdza, że fandom, chociaż martwy, dalej ma się dobrze. Zaś możliwość zarobku na własnej sztuce zawsze cieszy rysownika.

Jestem zazwyczaj mocno przyklejona do stoiska, bo ktoś musi pilnować interesu, gdy młode duchy eksplorują to, co ma do zaoferowania wydarzenie, więc większość czasu spędziłam na moim wygodnym krześle, podziwiając prace IRUSU, która miała stoisko naprzeciw naszego (pozdrawiam gorąco i jeszcze raz wychwalam świetny merch) i rozmawiając z ludkami przychodzącymi do stoiska.

Jedynym momentem było wymknięcie się na chwilę, by zobaczyć show, które Altius przygotował w głównej sali. Widok tańczących ludzi wykrzywił mój pyszczek w coś na kształt uśmiechu. Gdybym nie musiała wracać do stoiska, to z pewnością dołączyłabym do zabawy. Może kiedyś...

Patrząc na wszystko w całości, to był zdecydowanie bardzo udany ponymeet. Atmosfera była świetna, organizacja zdawała się nie mieć wad, ludzie kolejno raz dobrze przyjęli nasze stanowisko, a mi udało się zarobić trochę grosza. Ponadto, dzięki temu wydarzeniu nasz Semafor poszerzył się o kolejne światło i przywitałyśmy w naszym gronie Kruszynekę, którą doświadczenie ze Snowfallu zachęciło do kontynuacji prowadzenia stoiska na przyszłych kucykowych spędach. Podsumuję cytując wielkiego poetę: „I see this as an absolute win!”.



MANAD.PL

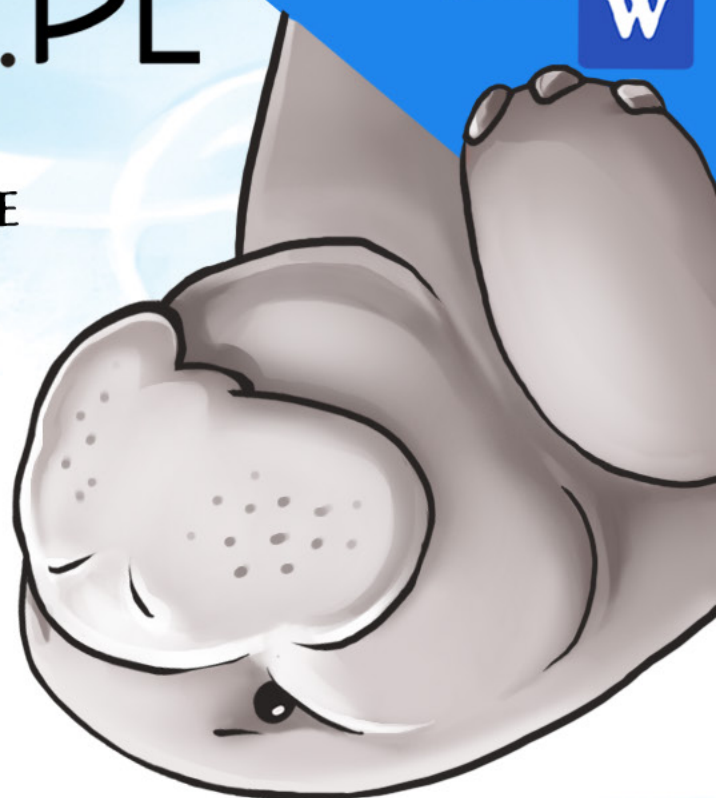


**W NASZYM SKLEPIE ZNAJDZIECIE WIELE
INTERESUJĄCYCH GADŻETÓW!**

**REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA
Z WŁASNYM WZOREM NA:**

- **PODKŁADKI**
- **PRZYPINKI**
- **NASZYWKI**
- **KOSZULKI**
- **KUBKI**

I WIELE INNYCH!



**WSPIERAMY OD STRONY
TECHNICZNEJ ORGANIZACJĘ
IMPREZ TYPU MEET/KONWENT
O DOWOLNEJ TEMATYCE**

WYPOŻYCZAMY TEŻ SPRZĘT:

- **KONSOLETY/MIXERY**
- **NAGŁOŚNIENIE**
- **OKABLOWANIE**
- **OŚWIETLENIE**
- **MIKROFONY**





Proszę się ogarnąć, Disney

Czyli rozkminy o live-action

O ile przez ostatnie parę lat nie żyło się pod kamieniem (i to jeszcze takim na odludziu) to nie dało się nie zauważyć, że Disney zaczął masowo produkować live-action wersje swoich animowanych klasyków. Zbierały one różne recenzje, choć mogło się wydawać, że te niezbyt pozytywne przeważały, zwłaszcza w przypadku późniejszych filmów. Jeżeli chcecie poznać moje przemyślenia, odnośnie dotychczasowych i nadchodzących filmów od Disneya oraz samego pomysłu przerabiania ich bajek na live-action, to zapraszam do dalszego czytania.

» *Gray Picture*

Na samym początku zaznaczę, że doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że wszystkie filmowe wersje są jawnym żerowaniem na sentymencie, jaki całkiem sporo ludzi czuje do oryginalnych animacji. Dużo osób wychowało się oglądając klasyczne bajki Disneya. Sama nie potrafię zliczyć ile razy męczyłam kasety i później płyty DVD z „Pocahontas”, „Mulan” czy moją ulubioną „Piękną i bestią”. Osobiście nie widzę w takiej strategii firmy nic złego, choć wolałabym poznać jakieś nowe historie, zamiast dostawać „odgrzewanego kotleta”. Ale szkle muszą się zgadzać, więc póki im się to opłaca, to będą powstawać coraz to kolejne live-action. Sama jak dotąd byłam w kinie na „Pięknej i bestii”, „Aladynie” i „Królu lwie”.

Dostawanie tego „odgrzewanego kotleta” dałoby się przeżyć, gdyby był to pysznie przyprawiony, jeszcze ciepłutki kotlecik babcinej roboty, a nie to coś, co dają do hamburgera w fast foodzie i nazywają mięsem dla niepoznaki. Gdzie na tej (niezbyt racjonalnej) skali znajdują się poszczególne filmy? Najbardziej podobała mi się „Piękna i bestia”. Być może częściowo właśnie dlatego że, jak już wspominałam, bardzo lubiłam kreskówkową wersję. A może ponieważ był to pierwszy z wydawanych ostatnio live-action, więc mimo że była to znana już historia, to sposób jej przedstawienia wydawał się nowy i całkiem ciekawy. Był też to dość ładny film. Zamek i jego mieszkańcy tworzyli atmosferę bajkowości. Owszem, było parę (a może nawet trochę więcej niż parę) rzeczy, na które można by ponarzekać, ale ogólnie oceniam ten film dość pozytywnie. I raczej nie tylko ja mam takie odczucia, ponieważ oceny, jakie „Piękna i bestia” ma na Filmwebie czy Rotten Tomatoes są zdecydowanie wyższe od tych, jakie dostały pozostałe aktorskie wersje klasycznych bajek.

To sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czego oczekuję od live-action, żebym mogła określić je jako dobre (albo chociaż przyzwoite). Po pierwsze, musi ono mieć zachowany charakter oryginalnej bajki, ale jednocześnie wprowadzać jakieś nowe wątki. Bo jakby nie patrzeć, wersje aktorskie trwają trochę dłużej, więc ten dodatkowy czas ekranowy powinien zostać rozsądnie wykorzystany. W „Pięknej i bestii” Disney zrobił to całkiem dobrze. Pojawił się motyw matki Belli, co było całkiem urocze.

A poza tym wyjaśniono kilka nielogiczności, jakie pojawiały się w oryginale. Jak to, czemu mieszkańcy pobliskiego miasteczka nie pamiętali, że w lesie nieopodal znajduje się olbrzymi zamek.

Podobnie „Aladyn” z 2019. Zostały dodane jakieś nowe elementy, jak chociażby rozbudowano postać dzina. Jednak ten film nie podobał mi się aż tak jak „Piękna i bestia”. Na pewno częściowo przez wybór aktora, który wcielił się w rolę Dżafara. Zdecydowanie nie wygląda wystarczająco złowieszczo, co bardzo psuje klimat filmu. Bo kto to niby uwierzy, że złodupiec jest serio zły, jak wygląda na zupełnie niegroźnego? Ale serio, bardziej przypomina kogoś, kto pomaga starszym paniom przejść przez ulicę, niż jak groźny czarnoksiężnik.

A skoro już zaczęłam narzekać, to mogę narzekać dalej, bo jest na co. Pora na „Króla Lwa”. Być może nie jest to live-action jako takie, ale wpisuje się w trend robienia nowych wersji, więc myślę, że warto też napisać trochę o tym. Animacja z 2019 jest od oryginalnej dłuższa o całe pół godziny, jednak pod względem fabuły, obie są zupełnie identyczne. Co więc zrobiono z tymi dodatkowymi minutami? Dodano kilka absolutnie nic nie wnoszących i niemożliwie dłużących się scen. Na przykład jak ta, w której kępka sierści Simby przemierza chyba z pół Afryki. Po co? Chyba tylko po to, żeby widz mógł podziwiać widoki. Przyznaje, były one całkiem ładne, bo jest to bardzo ładna animacja, lecz niepotrzebność tych wcisniętych na siłę dodatkowych scen aż bolała.

Zdecydowanie bardziej wysilili się scenarzyści nowej wersji „Dumbo”. Wersja aktorska jest dłuższa od bajkowej o całą godzinę, czyli drugie tyle czasu. I tak naprawdę został w niej zachowany tylko sam motyw, że słoń ma duże uszy i potrafi latać. No, może odrobinę przesadzam, ale tylko odrobinę. Jednak pojawiają się nowe postaci, które odgrywają znaczną rolę, a sama fabuła też bardzo różni się od pierwotnej. Jako samodzielny film byłby to nawet dobry twór. Jest to w końcu film reżyserii Tima Burtona. Tylko tu się pojawia problem, ponieważ „Dumbo” z 2019 mimo, że ogląda się go bardzo przyjemnie, jest w klimatach dość typowych dla dzieł Tima Burtona. Co samo w sobie absolutnie nie jest problemem, „Miasteczko Halloween” czy „Gnijąca panna młoda” to przecież bardzo fajne animacje. Jednak od filmu Disneya oczekuję właśnie tego ich „disneyowskiego” stylu.

To jak już pomarudziłam na temat już wydanych live-action, to teraz pora na te, które dopiero mają mieć swoją premierę. Jeżeli czegoś jestem pewna, to tego, że z własnej woli nie pójdę do kina na „Mulan”. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ten film ma wyglądać tak, a nie inaczej, ale właśnie dlatego będzie on dla mnie nie do obejrzenia. A szkoda, bo po pierwszych zapowiedziach cieszyłam się, że ten film powstaje. „Mulan” to jedna z moich ulubionych bajek Disneya. Nadchodzący film ma być bardziej wierny oryginalnej legendzie, dlatego zabraknie w nim smoka Muszu. Dla mnie jest to dostateczny powód, żeby nie iść na ten film, ponieważ bardzo lubię tego gada. Ale jakby tego było mało, to nie będzie też piosenek, której pojawiły się w kreskówce. Rzekomo dlatego, że nie pasują do bardziej realistycznego charakteru filmu, ale z jakiegoś powodu do realizmu już pasuje postać wiedźmy. Być może ten argument jest wykorzystywany tylko wtedy, gdy pasuje, a kiedy indziej, to kogo to obchodzi. Takie zmiany mogą się podobać azjatyckiemu odbiorcy, ponieważ „Mulan” z 1998 spotkała się z dużą krytyką w Chinach, gdzie nie odebrano dobrze przerabiania ich legendy. Jednak mi i, jak podejrzewam, wielu innym europejskim odbiorcom niekoniecznie podoba się to, jak ma wyglądać aktorska wersja „Mulan”. Jeśli chciałabym obejrzeć film kung-fu, to nie oglądałabym filmu Disneya.





Chroma Squad Recenzja

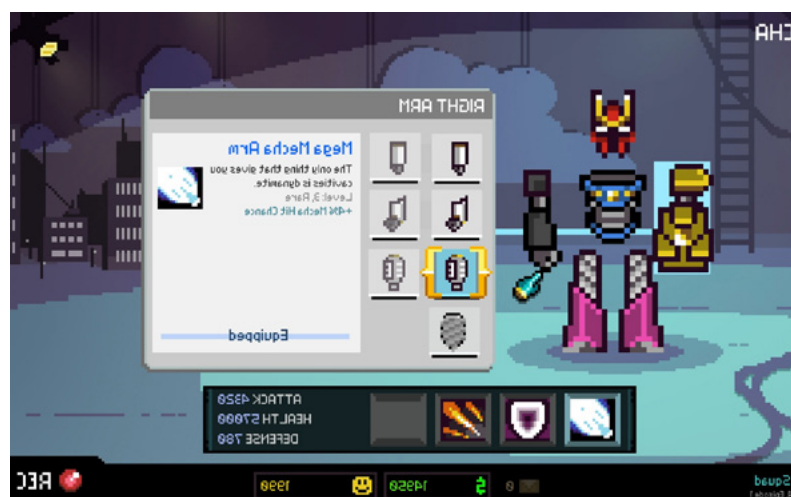
Gdy jeszcze byłem małym berbeciem udało mi się wyczuć, że jeśli uda mi się wstać odpowiednio wcześniej, to może uda mi się dopaść w telewizji śmieszny serial o nastolatkach w kolorowych strojach bijących potwory. Czasem pojawiał się jeszcze ogromny robot! Czego chcieć więcej? „Power Rangers” nie było szczytem sztuki filmowej, ale idealnie trafiało w moje (dość wtedy ograniczone) oczekiwania. Z czasem pojawiały się kolejne serie, z nowymi aktorami, potworami i nawet czasami jakimiś wątkami fabularnymi poważniejszymi niż „wielkie zło próbuje nas wszystkich pobić”. Z czasem jednak wydorostałem, serial zniknął z telewizji i moja przygoda z tą serią się, tymczasowo, zakończyła.

» *Ghatorr*

Mijały lata, a pokolenie, które za młodu obserwowało z zapartym tchem jak Jason, Tommy i reszta kolorowej ferajny powstrzymują złą Ritę Odrazę, dorastało. Część z nich nawet postanowiła uczyć się takich pierdół jak programowanie, grafika komputerowa i tego typu rzeczy. Nikogo w tej sytuacji nie powinno dziwić, że niektórzy z tych ludzi zebrali się razem i postanowili wtłoczyć wspomnienia z dzieciństwa w jakąś interaktywną formę. Dzięki pojawieniu się Kickstartera zebrali pieniądze, zabrali się poważnie do pracy i, po pewnym czasie, tryumfalnie wypuścili na rynek grę „Chroma Squad”, nawiązującą do dawnej klasyki - nie tylko serii „Power Rangers” ale również pokrewnych jej

seriali, takich jak „Kamen Rider” czy „Metal Heroes”, określanych jako należących do gatunku „sentai”.

„Chroma Squad” jest grą taktyczną z elementami zarządzania zasobami, w której prowadzimy ku chwale i bogactwu grupkę przyjaciół, którzy zdenerwowani niską jakością seriali tworzonych przez reżysera, u którego do tej pory pracowali, postanowili założyć własne studio filmowe i rozpocząć tworzenie własnego serialu. Na start dostajemy pięcioosobową grupkę aktorów (do której w niektórych misjach mogą dołączyć postacie poboczne), budynek, który do niedawna był nieużywanym magazynem, stroje szyte na szybko przez mamę i strój potwora zrobiony z kartonu i dwóch rękawic bokserskich. Naszym zadaniem, jako graczy, jest przeprowadzenie tej wesołej kompanii przez pięć sezonów.



Rozgrywka podzielona jest na trzy części. W studiu możemy zmieniać sprzęt naszych aktorów, kupować rzeczy, które poprawią oglądalność, wprowadzać modyfikacje takie jak nazwa zespołu czy odżywki bohaterów (kwestia czysto kosmetyczna) albo kupować/samodzielnie sklejać (gra oferuje prosty system craftingu) nowe ubranka i uzbrojenie. Ze studia trafiamy też na plan filmowy, gdzie musimy zadbać o to, by ci Dobrzy i Prawi skopali tych Złych i Niedobrych w odpowiednio widowiskowy sposób. System walki jest dość prosty - w turach zarządzamy naszymi wojakami po polu bitwy złożonym z prostokątnych pól. W trakcie każdej tury nasi wojownicy mogą się poruszać, atakować, używać umiejętności specjalnej albo „współpracować” - przy odpowiednim rozstawieniu są w stanie wspólnie dokonać niszczyielskiego ataku lub poruszać się dalej, niż wskazywałyby na to ich punkty ruchu. Walkę umilają zalecenia reżysera, na przykład „niech dowódca zespołu zniszczy najsilniejszego przeciwnika” czy „zwycięz w pięć tur”, których wypełnianie przekłada się na wyższy wynik. Ostatnim trybem rozgrywki jest sterowanie mechem - niektóre odcinki kończą się epicką walką naszego zespołu, sterującego olbrzymim robotem, z powiększonym potworem. Nie są, niestety, zbyt pasjonujące - są toczone w turach, w trakcie których mamy do wyboru tylko kilka akcji (atak, obrona, umiejętności specjalne, o ile kupiliśmy odpowiednie części), których skuteczność zależy od prostej minigierki, w której staramy się kliknąć w odpowiednie miejsce na pasku.

Starcia dość szybko zaczęły mnie nużyć. Kolejne odcinki musiałem sobie dawkować, żeby nie przysnąć w środku walk, które - pod względem mechanicznym - prawie się od siebie nie różniły. Większego urozmaicenia dostarczali co najwyżej silniejsi przeciwnicy, a i oni dość szybko zaczęli powtarzać te same sztuczki i taktyki. Mimo to grę przeszedłem, osiągając jedno z trzech zakończeń - na szczęście na jednokrotne przejście kampanii wystarcza zaledwie dwanaście-trzydzieści godzin. Sporą zasługę w utrzymaniu mnie przy ekranie odgrywała przyjemna atmosfera i dość prosta fabuła, która jednak umiejętnie wzbudzała nutkę nostalgii w mojej duszy. Bardzo przyjemny element stanowią listy od fanów, na które możemy odpowiadać.

Od strony audiowizualnej gra prezentuje się całkiem porządnie. Schludna, pixelartowa grafika nie przeszkadza w graniu i prezentuje się na tyle

dobrze by nie dawać najmniejszego powodu do narzekania. Podobnie jest z muzyką - idealnie pasuje do klimatu gry, szczególnie utwór z menu głównego.

Od czasu do czasu w graniu przeszkadzały mi drobne bugi. Ot, kamera utykała, scenka zwieszała się na chwilę, raz czy dwa z jakiegoś powodu na mapie utykała grafika broni trzymanej przez moje postacie... Nie było to zbyt dokuczliwe, poza ostatnią mapą, gdzie nagle jeden z moich herośów zaczął zadawać obrażenia o miazdzącej sile jednego punktu zdrowia. Biorąc pod uwagę, że nawet najślabi wrogowie na tej mapie mieli ich co najmniej sto osiemdziesiąt, dość poważnie osłabiło to moje zdolności ofensywne.

„Chroma Squad” kupiłem po sporej przecenie - o ile pamięć mnie nie myli, to wydałem co najwyżej pięć złotych. Z kolei na ostatniej wyprzedży Steam pojawiła się w cenie trzynastu złotych. Jeśli za młodu było się fanem „Power Rangers” lub pokrewnych produkcji, to aż żal nie brać - gra jest zadziwiająco przyjemna, i o ile się pamięta, by dawkować sobie kolejne starcia, aby się nie wynudzić zbyt szybko, to potrafi przykuć uwagę gracza. Nie jest to może najlepsze, co mogło spotkać sentaie, ale widać, że twórcy chcieli zrobić porządną grę i całkiem dobrze im to wyszło. Co prawda po jednokrotnym przejściu niezbyt mnie ciągnie do prób odblokowania pozostałych dwóch zakończeń, ale może kiedyś się pokuszę - gdy już zapomnę ile biegania kosztowało mnie pokonanie ostatnich bossów. Zachęcam do poczekania na promocję i wypróbowania gry na własnej skórze.





Ulubione pasożyty Gray

Czyli subiektywna lista najciekawszych pasożytów

Tytuł w żadnym wypadku nie jest clickbaitem, ten artykuł naprawdę będzie o pasożytach. „Equestria Times” bawi - ucząc, ucząc - bawi. Studiuję kierunek biologiczny, który ku mojemu zdziwieniu okazał się mieć bardzo dużo zajęć z parazytologii oraz jeszcze kilku przedmiotów bardziej lub mniej związanych z pasożytami. Możecie mi wierzyć lub nie, ale są to w większości bardzo ciekawe przedmioty. Oto bardzo subiektywne przedstawienie kilku pasożytów, które z różnych powodów uważam za szczególnie interesujące.

» Gray

temat, to obecność pasożyta nie ma specjalnego wpływu na ogólną jakość życia ryby. Co jest dość zaskakujące, jeżeli pomyśli się, że przecież sprawia, że cały narząd obumiera. Jednak pasożyty zwykle nie mają na celu zabijać, ani specjalnie zaszkodzić swojemu żywicielowi. Nie leży to w ich interesie, ponieważ umarłyby razem z żywicielem.

Ludzie nie mają się czego obawiać. Nas *C.exigua* może co najwyżej ugryźć, gdy zostanie na siłę wyjęty z pyska ryby. I nie dziwię mu się, bo nikt nie lubi być siłą wyciągany z domu.

Cymothoa exigua

Ten skorupiak to zdecydowanie jeden z moich ulubionych pasożytów. Grupka młodych osobników wpływa do skrzeli ryby. Na tym etapie wszystkie są samcami. Tam sobie rosną przez jakiś czas, aż jeden stwierdza, że pora na przeprowadzkę. Więc wyrusza na wyprawę, której celem jest jama gębowa nieszczęsnej rybki. Za pomocą pazurków na przednich odnóżach przyczepia się do języka swojego żywiciela i zaczyna pić krew. Przyczepiony do języka pasożyt zmienia płeć, stając się samicą. Mając pod dostatkiem jedzenia, *C.exigua* rośnie coraz bardziej, a im jest większa, tym więcej krwi pije. W pewnym momencie sprawia, że język ryby obumiera. Słabo? Na szczęście ten skorupiak jest w miarę w porządku współlokatorem, więc po obumarciu języka, sam zaczyna pełnić funkcję tego organu. Według pracy, jaką ostatnio czytałam na ten



Toxoplasma gondii

Pasożyty są bardzo powszechne. Ale jakby się zapytać większej grupy ludzi, kto z nich kiedyś miał jakiegoś pasożyta, to zgłosi się niewiele osób. Częściowo oczywiście dlatego, że generalnie zakażenie pasożytami jest uznawane za coś wstydliwego. Lecz częściowo dlatego, że dużo z nas może nawet nie wiedzieć, że jakieś milutkie stworzonko zrobiło sobie z niego dom. *Toxoplasma gondii* jest doskonałym tego przykładem. Szacuje się, że zakażonych tym pasożytem było od 30 do 50 procent populacji. Jednak w niektórych krajach ta liczba jest jeszcze wyższa, we Francji będzie to już ponad 80%. Dużo. Jednak mało kto może się „pochwalić”, że miał toksoplazmozę (czyli chorobę wywoływaną przez tego pierwotniaka). Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Toksoplazmoza to choroba oportunistyczna, co oznacza, że występuje u osób o obniżonej odporności. U zdrowego człowieka zakażenie *Toxoplasma gondii* przebiega bezobjawowo lub jedynie z lekkimi grypopodobnymi objawami.

To wszystko powyżej, to zdecydowanie przydługa dygresja, gdyż nie jest to główny powód, dla którego zdecydowałam się umieścić *T. gondii* na tej liście. Dużo bardziej interesujący jest jej wpływ na myszy.

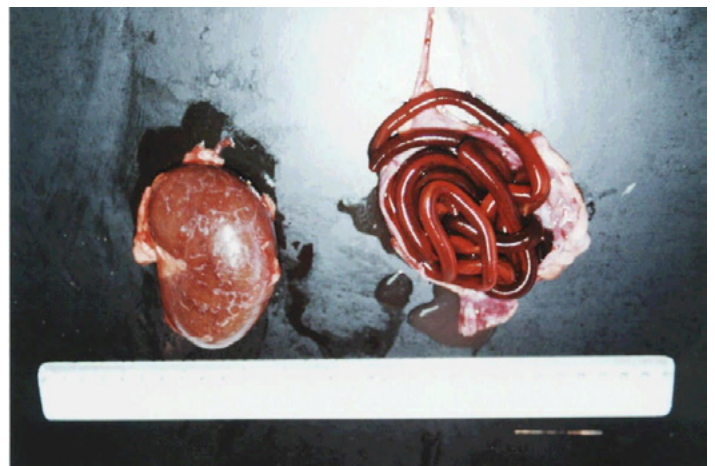
Ale jakie myszy? Jak przecież wyżej pisałam o człowieku. Pasożyty mogą być holokseniczne lub heterokseniczne. Te pierwsze mogą zamknąć swój cykl życiowy w jednym żywicielu. Nie szukając daleko – tak ma na przykład owsik ludzki (*Enterobius vermicularis*). *Toxoplasma* należy do tej drugiej grupy. Te pasożyty potrzebują co najmniej dwóch różnych żywicieli. Można wtedy mówić o żywicielu ostatecznym, czyli takim, w którym pasożyt rozmnaża się płciowo oraz żywicielu pośrednim, w którym następuje rozmnażanie bezpłciowe. W przypadku *T.gondii* żywicielem ostatecznym są tylko kotowate, jednak żywicielem pośrednim może być wiele różnych stałocieplnych zwierząt, w tym właśnie ludzie i myszy.

Ale przechodząc (w końcu) do rzeczy. Myszy zakażone tym pasożytem przestają się bać zapachu kota. Są również mniej skłonne do ucieczki, gdy futrzak próbuje je upolować. Ktoś mógłby w tym momencie powiedzieć, że przecież nie tak dawno pisałam, że pasożyty przecież nie mają na celu zabijania żywiciela. Jednak w tym przypadku *Toxoplasma* należy, żeby jak najefektywniej dostać się

do żywiciela ostatecznego, gdzie będzie mogła rozmnożyć się płciowo, a wiadomo, zmienność genetyczna to przydatna rzecz.

Dioctophyma renale

Pasożyty występują w każdym rozmiarze. Duże i małe, dla każdego coś obślizgłego i wygłodniałego. Ale *D.renale* to szczególnie wielkie bydle. Nie bez powodu ten nicien jest lepiej znany jako „giant kidney worm”. Samice mogą mieć około metra długości (są też samce, ale one są znacznie mniejsze, jedynie 20-40 cm długości; większość nicieni jest rozdzielnopłciowa, co w świecie pasożytów może nie jest rzadkością, ale zdecydowanie częściej opcją jest obojnactwo). Ktoś mógłby pomyśleć, że to nie aż tak dużo. Bo przecież takie tasiemce to mogą mieć kilka czy kilkanaście metrów. Jednak tasiemce żyją głównie w jelicie cienkim, które jest dość długie, więc można powiedzieć, że pasażer na gapę jest dopasowany do rozmiaru swojego „domu”. Do tego tasiemce, w przeciwieństwie do nicieni, są raczej płaskie. Samica *Dioctophyma renale* ma około 1 cm szerokości (samiec jest o połowę mniejszy). I to dość duże stworzenie trzeba tak poskładać, żeby zmieściło się w nerce. Bolesna perspektywa. Ale to nie wszystko. Już pisałam, że *D.renale* są rozdzielnopłciowe, do tego nicienie mają to do siebie, że rozmnażają się tylko płciowo. Więc w ich interesie jest, żeby w jednym żywicielu znalazł się pan i pani nicien. Tym bardziej bolesne. Dla lepszego zobrazowania, nerka człowieka ma jakieś 10-12 cm długości, nie jest za gruba. Porównując to do jakiegoś przedmiotu codziennego użytku, nerka jest mniej-więcej wielkości smartfona albo prostego kalkulatora. I w tym sobie radośnie może żyć parka (lub więcej) nicieni.



Nie trudno się domyślić, że taka nerka z „nicie-niowym nadzieniem” nie spełnia za dobrze swojej funkcji. Ale na szczęście D.renale zazwyczaj atakuje tylko jedną nerkę. A jedna zdrowa w zupełności wystarcza. Kolejne „na szczęście” – ludzie są raczej przypadkowymi żywicielami, pasożyt o wiele częściej zamieszkuje nerki norek, kojotów, lisów, wilków i psów. Więc nie ma się czego obawiać.

Candiru (*Vandellia cirrhosa*)

A skoro już było o bolesnych pasożytach, to można pozostać w tej tematyce. Kolejnym pasożytem na mojej liście jest, z pozoru przyjemnie wyglądająca, rybka. Najwidoczniej jest też znana pod polską nazwą Wandelia, ale przyznam się, że ja pierwsze słyszę to określenie. Nie jest za duża, ma jedynie kilkanaście centymetrów długości. Do tego urocze wąsiki i stosunkowo małe płetewki. No słodziak. Ale jak się przyjrzeć bliżej, to widać, że ma ostre zęby i równie ostre, krótkie kolce na pokrywach skrzelowych. Czyli jednak nie taki słodziak, jakby mogło się wydawać. Normalnie Candiru pasożytuje na innych rybach. Wpływa do skrzel i tam radośnie żyje podjadając krew żywiciela. Co nie jest zbyt niezwykle, ani specjalnie interesujące, przynajmniej według mnie.

Candiru zasłużyło sobie czymś innym na miejsce na tej liście. Woda, która wypływa ze szeli ryb zawiera niewielkie ilości mocznika. To właśnie zapach tego związku nakierowuje Candiru na swojego żywiciela. Jednak gdzie można jeszcze znaleźć mocznik? Jak sama nazwa podpowiada – w moczu. Również ludzkim. Dlatego wśród miejscowej ludności dorzecza Amazonki, gdzie występuje, Candiru dorobiła się bardzo złej sławy. Przyciągana zapachem mocznika rybka potrafi się pomylić i wpłynąć do cewki moczowej człowieka, który akurat postanowił wysikać się w wodzie. Wewnątrz cewki moczowej ryba się dusi i umiera, jednak trzeba ją usunąć operacyjnie. Samo myślenie o tym boli. Na szczęście zdarza się to bardzo rzadko.

Wuchereria bancrofti

Kolejny niciel na liście i kolejny, bardziej bolesny, temat. Czasem sobie myślę, że bardzo dobrze jest mieszkać w Europie. Tutaj komary mogą co najwyżej irytować, a nie przenosić nieprzyjemne choroby. W.bancrofti występuje w niektórych rejonach Ameryki Południowej, w Azji i Afryki.

Poprzedni niciel zamieszkiwał nerki, ten jednak upodobał sobie inną część ciała człowieka (i małp, bo pasożytuje też na nich), mianowicie naczynia limfatyczne (lub inaczej chłonne). Mimo że znacznie mniejsze od *Dioctophyma renale*, to jeżeli wziąć pod uwagę to, jaką część ciała zamieszkują, są stosunkowo dużymi pasożytami. Samica ma 8-10 cm długości, samiec ponownie jest mniejszy, ma około 4cm. Zwierzę tej wielkości to raczej nie jest coś, co chce się mieć wewnątrz swoich naczyń limfatycznych. Ich obecności powoduje niedrożność naczyń, przez co nic nie może przez nie prawidłowo przepływać i tworzą się zastoje. Choroba wywołwana przez tego niezbyt sympatycznego nicienia nazywa się słoniowacizna, co bardzo dobrze obrazuje, jakiej wielkości obrzęki mogą powstawać przez to. Nie chciałam już dodawać zdjęć tego do artykułu, ponieważ nie każdy może chcieć oglądać takie rzeczy, ale kto chce, musi samodzielnie go oglądać, bo jest to dość... ciekawy widok.

To byłoby na tyle. Nie lubię prosić o komentarze, ale byłabym wdzięczna za napisanie, czy taka forma okołoprzyrodniczych artykułów (niekoniecznie o pasożytach) to coś, co chcielibyście przeczytać w kolejnych numerach. Zachęcam też do napisania, czy macie jakiegoś ulubionego pasożyta.



PTAKI NOCY

DC

I FANTASTYCZNA EMANCYPACJA
DŁGĄ PEWNEJ HARLEY QUINN

Ptaki nocy (i Fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn) Recenzja

Czy Ptaki nocy to nietoty? Czy brokat może być niebezpieczny? A może płatki śniadaniowe pomogą w zjednoczeniu wszystkich narodów? O tym przekonacie się z recenzji, którą przygotowali dla was Moonlight i Sosna

» Redakcja

Ogólne Wrażenia

Sosna: Jakby to ująć... Idąc do kina chciałem dostać przyjemnego akcyjniaka z Harley Quinn w roli głównej, bo i recenzje w sieci były pochlebne i jakoś czekałem na ten film tak samemu z siebie, bo wiedziałem, że to nie jest sequel „Suicide Squad”, choć ta sama aktorka występuje w roli Harleen. Jednakże to, co dostałem to istna karuzela różnych pomysłów i sposobów na zadawanie bólu. Przy okazji jest przyjemny do oglądania film z przewidywalną, choć niezłą, fabułą oraz szaleńczą układanką, w której, o dziwo, wszelkie elementy wydają się ze sobą współgrać. Nie jest to może kino, które zasługuje na Oscara, niemniej przez cały seans bawiłem się na tym filmie wyśmienicie. Spodobał mi się styl narracyjny, samoświadomość filmu oraz sposób

prowadzenia wątków. Już od animowanego wprowadzenia w historię mnie zaintrygował, a im film trwał dłużej tym bardziej się w niego wkręcałem. To film, który pozostawia po sobie niedostatek. Niedostatek tego rodzaju, że chciałoby się więcej i więcej tego szaleństwa, humoru czy klimatu. Z pewnością jest to kino, które nie pozwala się sobą nudzić, bo co rusz pojawia się: to kolejny pomysł Harley, a to scena pościgu, a to coś innego.

Gdy film dobiegał końca, faktycznie było to widać, jednak byłem szczerze zaskoczony, że zleciał tak szybko. Aż dziw bierze, że postanowiono rozreklamować „Ptaki Nocy” w chyba najgorszy możliwy sposób, czyli prawie wcale. Ten film zdecydowanie zasługuje na znacznie lepszy marketing



Moonlight: Długo zastanawiałam się nad znalezieniem odpowiednich słów, by opisać wrażenia po tym seansie. Ten film był niczym dojrzale, słodkie gruszki zanurzone w ostrym sosie i popite gazowanym napojem słodowo-gruszkowym. Wbrew pozorom to dziwnie smaczne połączenie (albo po prostu mam specyficzny gust i lubię gruszki). To taki naba-

zgrany kredką świecową balans między słodyczą i pikanterią. Niezwykły urok Harley, jej podejście do świata, prezencja, pastelowość strojów i prze-

słodki Bruce kontra jej wybuchowe towarzystwo, zdolności i wszechobecny ból, krew i przemoc, a czasem nawet jakieś używki. Gdyby Harley Quinn była księżniczką, a zwierzęta potrafiłyby mówić, z pewnością podczas oglądania jej zabójczych akrobacji śpiewałyby:

„Breaking the law, breaking the law

Breaking the law, breaking the law

Breaking the law, breaking the law

Breaking the law, breaking the law”

Najbardziej w tym wszystkim podobał mi się sam pomysł na narrację, prowadzoną przez tę niespecjalnie stabilną psychicznie kobietę, która po utracie swojego dotychczasowego „pana”, zaczęła odkrywać siłę swojej niezależności. Zaprawdę, zaprawdę powiadam Wam, że była to siła pełna brokatu. (Nie wciskając tu żadnych dyrdymałów wynoszących kobiety nad mężczyzn, czy innych tego typu bzdet). Powiem więcej! Ten brokat, wybuchając Ci tuż przed twarzą, zmieniał się w coś intrygującego. W coś, co sprawiało, że widz czuł się jak dzieciak, który pierwszy raz poszedł do wesołego miasteczka, by po kolei zaliczać kolejne atrakcje chcąc więcej i więcej. Film wydaje się całkiem samoświadomy swojej groteskowości, dozując widzom odpowiednią nutę szaleństwa, humoru i mordobicia, jednocześnie wyśmiewając szlampowe rozwiązania typowego kina super- i antybohaterskiego. Trudno się przy tym nie uśmiechać jak jakiś maniak, ciesząc się z tego, co oferuje nam ten dziwnie dobrze oświetlony popkorniak od DC. Jestem niezmiernie zdumiona, że ten film był tak słabo reklamowany, w porównaniu do szumnie zapowiadanego „Legionu Samobójców”, który, aktualnie i w moim odczuciu, był zdecydowanie znacznie słabszy od historii emancypacji pewnej Harley Quinn.

Fabula

Sosna: Fabuła, no cóż... nie należy do specjalnie górnolotnych, jednakże widać było, że ktoś miał na nią pomysł. Widać tu lekki chaos, jednakże nawet i to zdaje się pasować, szczególnie do charakteru protagonistki. Prowadzona jest niekoniecznie chronologicznie, czasem na granicy przekombinowana, niemniej widać w niej dużo serca i fakt, że komuś chciało się wgłębić tak w komiksy, jak i samą postać

protagonistki na tyle, żeby przyjemnie się oglądało ten film, dbając przy okazji o różnorodność nawiązania do innych filmów. Ogółem wszelkie wydarzenia łączą się ze sobą w sposób dość logiczny i zrozumiały. Nie ma w tym ani nadęcia, ani patosu.

Moonlight: Mam wrażenie, że jest jednocześnie bardzo prosta i przewidywalna, ale też jednocześnie ciekawa i pomysłowa. Na pewno nieco chaotyczna, przez sam sposób narracji, który niekoniecznie jest chronologiczny, a czasami mocno przekolorowany. Niby jest szampa, bo mamy „tego złego”, niby jest też MacGuffin, który łączy wszystkie rozwijane wątki, ale jest w tym dużo zabawy i serducha, mimo często prostego, a nawet prymitywnego, humoru. Wydarzenia ładnie się ze sobą łączą, nawet jeśli historia nie idzie po kolei, a wszystko ładnie uzupełniają etykiety, które Harley przypina spotykanym przez siebie ludziom. Zdecydowanie pomagają odnaleźć się w klimacie filmu. Jest w tym jakaś specyficzna lekkość, mimo ciężkiego klimatu przestępczego półświatka.



Postacie

Sosna: Uwielbiam Harley oraz pozostałe Ptaki Nocy. Podoba mi się sposób przedstawienia bohaterek, jednakże mam wrażenie, że poza Harleen pozostałe protagonistki nie dostały tyle czasu antenowego, na ile zasługują, przez co ich prezentacja jest słabsza. Zdecydowanie podoba mi się Roman Sionis, czyli Czarna Maską, grany przez Evana McGregora. Zdecydowanie widać, że aktor miał dużo zabawy wcielając się w tę postać. Z innych postaci, to Zsasz się mocno rzucał w oczy. Ale z postaci tła to każda, która się pojawiła, choćby w jednej scenie, były dość charakterystyczne. Ogółem ciekawie się obserwowało chemię między bohaterkami. Najbardziej z filmu podobała mi się parka Harleen + Bruce, ale i „czarne charaktery” dały popis groteski oraz przerysowania godnego komiksów. Łowczy-

ni... cóż dostała zdecydowanie za mało czasu i to było widać. Czarny Kanarek została przedstawiona w całkiem ciekawy sposób.

Moonlight: Absolutnie uwielbiam duet Harley i Bruce'a, zaraz potem jest duet Harley z Cassandrą, trzecie miejsce zajmują zaś Roman Sionis z Zsaszem. Między tymi postaciami zdecydowanie było czuć chemię i dobrze się ich oglądało razem na ekranie. Ogółem samo przedstawienie postaci w filmie było dobrze i pomysłowo przeprowadzone. Jak już wspominałam, etykietki, które Harleen przypisywała napotkanym przez siebie ludziom, zdecydowanie pomagały odnaleźć się w sytuacji i stanowiły mocny element budowy klimatu sceny. Same Ptaki Nocy otrzymały moim zdaniem wystarczająco dużo czasu antenowego, by zrozumieć ich motywacje. Każda z nich była na swój sposób wyjątkowa i to, w jaki sposób ostatecznie połączyły siły, dał naprawdę miłe dla oka rezultaty. Czarny Kanarek była silną i utalentowaną kobietą, która potrafiła dobrze ocenić sytuację, mimo trochę ryzykanckiego podejścia i, czasem lekkomyślnych, decyzji. Renee Montoya, grana przez Rosie Perez, była najbardziej autentyczna z całej trójki bohaterek. Element tragizmu i beznadziei dodawał tej postaci kolorów i sprawiał, że chciało się podążać za jej dalszymi działaniami, oczekując w końcu odwrócenia jej losu. Najślabszą ptaszyną była moim zdaniem Łowczyni, która otrzymała chyba najmniej czasu antenowego i nie oczarowała mnie swoim charakterem, była trochę zbyt sztampowym skrzywdzonym dzieckiem z tragiczną przeszłością (mimo tego, że film chciał ewidentnie

z jej wykorzystaniem tę sztampę wyśmiać). Zaś fabularne „czarne charaktery” były fenomenalne w swej groteskowości i przerysowaniu. Ich gra była niemalże teatralna, co sprawiało, że wszystkie ich poczynania oglądało się z nutą ekscytacji. Czasem ciężko było przewidzieć ich reakcje, co dodawało do seansu takiego delikatnego dreszczyku emocji. Zwłaszcza w przypadku Roman Sionisa, który był dosłownie chodzącą mieszanką wybuchową, która mogła eksplodować w dowolnym momencie! Zaś mimika i zachowanie Zsasha miała w sobie coś niepokojącego... Tego, że Harley Quinn była przewspaniała, chyba nie muszę już wspominać... Mam ochotę narysować tak wiele scen, w których występowała, że nawet nie wiem, od czego zacząć!

Dźwięk i wizualia

Sosna: Absolutne cudo wizualne, moim zdaniem. Jest brutalnie, kolorowo, a choreografia walk to miód. Design postaci jest pół poważny, pół komiksowy i to lubię. Co do muzyki, to cóż, piosenki są całkiem zacne i bardzo dobrze pasują do klimatu filmu. Przyjemnie się słucha piosenek nawet poza filmem. Natomiast efekty czasem kulały, co można wytłumaczyć ograniczonym budżetem. Nie jest to coś, co przeszkadza w cieszeniu się filmem, ale czasem kłuje w oczy. Do kostiumów nie mam zastrzeżeń, są odpowiednio komiksowo poważne. Scenografia jest świetna po prostu. Cieszy oczy i wiadomo od razu, że na przykład, wesołe miasteczko jest wesołym miasteczkiem, a nie jakimś pomieszczeniem udającym tylko daną atrakcję.



Moonlight: To było niezwykle przyjemne widowisko od strony wizualnej. Zarówno jeśli chodzi o samą stylistykę obrazu, w skład czego wchodzi oświetlenie, scenerie, ale też od strony designu postaci i ich ubioru. Wprost ubóstwiałam stroje, w których paradowała Harley i Ptaki Nocy. Nic nie było przesadnie wyuzdane, a jednocześnie miały tę nutę kobiecości i seksapilu. Także stroje były w punkt. Zwłaszcza strój Czarnej Maski był idealnym połączeniem kiczu i klasy. Największe wrażenie zrobiły na mnie sceny na komisariacie oraz w wesołym miasteczku. Bardzo klimatyczne scenerie i charakterystyczne różowo-niebieskie oświetlenie ładnie budowało nastrój. I te cudowne, chaotyczne wyrzutnio-pistolety wypełnione efektami specjalnymi... cud, miód i orzeszki. Moim ulubionym strojem Harley jest zdecydowanie ten z ostatniej sceny, zdecydowanie potrzebuję zdobyć jej okulary! Wyglądała w nich bajecznie!

Co do soundtracku, to jest to dosyć zrównoważona mieszanka muzyki: z syntezatora, takich z bardziej „nowoczesnym” wydźwiękiem (z których najbardziej w pamięć zapadła mi piosenka „Joke’s On You” wykonana przez Charlotte Lawrence) i bardzo klasycznych kawałków, które jednak najbardziej zapadły mi w pamięć, takich jak „Hymne a l’amour” od Edith Piaf, „It’s Oh So Quiet” od Lucy Woodward, czy też „Mr Sandman” w wykonaniu The Chordettes. Mówiąc o muzyce ciężko też nie wspomnieć fenomenalnego wykonania „It’s A Man’s Man’s Man’s World”, śpiewanego przez Black Canary. Myślę, że będę czasem wracać do składanki z tego filmu, dobrze ją wspominam.

Podsumowanie

Sosna: Na samym seansie bawiłem się wręcz z rąbkiem. A i miesiąc po premierze, i po ostatnim seansie, wspominam go dobrze. Konwencja filmu, gra aktorska, humor i wizualia sprawiają, że chętnie wrócę do tego filmu, jak już pojawi się na jakimś VOD typu Netflix czy HBO GO. Może na Oscara nie zasługuje, niemniej zdecydowanie zasługuje na to, żeby go otrzymać; także na lepszy marketing, ale podejrzewam, że na to już za późno... chociaż, jakby dostał dobrą promocję na Blu-ray/DVD, i gdyby zadziałał marketing szeptany, to może... Przy okazji cieszy mnie, że twórcy nie próbują zrobić na siłę z Harley superbohaterki, którą nigdy nie była. Ogółem polecam film.

Moonlight: Po prawie miesięcznej przerwie od seansu nadal dobrze wspominam ten film. Przyniósł mi naprawdę wiele frajdy, poprzez swoją zabawę konwencją, dobrze dobrany humor i oprawę graficzną. Nie było to kino najwyższych lotów, które zmieniło moje postrzeganie świata, ale na pewno dobrze się na nim bawiłam. Myślę, że na pewno będę czasem wracać do tego tytułu w szary smutny dzień, by choć przez krótki moment móc pośmiać się z dobrze przeprowadzonego mordobicia. Fabuła w żadnym stopniu nie próbuje wybielić Harley i nie próbuje nas przekonać, że jest dobrą osobą, ale jednocześnie sprawia, że lubię tę niezdrowo kopniętą kobietę zdecydowanie bardziej, niż po seansie „Legionu samobójców”. W tym filmie jest zdecydowanie coś więcej niż ładną buzią i seksownym ciałem. Śmiem przez to twierdzić, że była to bezsprzecznie udana emancypacja. I to z klasą! Podobnie było w przypadku pozostałych Ptaków nocy... możliwe nawet, że dzięki temu filmowi bardziej zagłębię się w uniwersum DC. Kto wie, kto wie... Acz jedno wiem na pewno, szalenie polecam ten tytuł.



Lubisz czytać fanfiki i o nich dyskutować?

Chciałbys zrobić coś dla literackiego półświatka fandomu?

Masz trochę wolnego czasu i nie wiesz jak go zagospodarować?

Klub Konesera szuka nowych moderatorów.

Mile widziane są osoby ogarnięte, potrafiące podtrzymywać dyskusję.

O więcej informacji możecie zapytać na serwerze Klubu.

Klub Konesera
Polskiego Fanfika



DISCORD

Autor: [Artworktee](#)
Tłumaczenie i opracowanie
graficzne: SoulsTornado

AUTOR: ARTWORKTEE

A. K. YEARLING NAPISAŁA
JESZCZE KILKA KSIĄŻEK
O DARING DO OPARTYCH NA
OSTATNICH WYDARZENIACH,
NA PRZYKŁAD:



ORAZ BŁYSKAWICZNY KLASYK:



ARTWORKTEE.COM

TO OZNACZA WOJNĘ

AUTOR: ARTWORKTEE



ARTWORKTEE.COM

KRÓLEWSKI BÓL

AUTOR: ARTWORKTEE

SIOSTRO, CZEMU BOLI MNIE GŁOWA?

PAMIĘTASZ, JAK ZESŁAŁAM CIĘ
NA KSIĘŻYC? CÓŻ...



KIEDY ZJADŁAŚ MÓJ KAWAŁEK TORTU...



ZESŁAŁAM KSIĘŻYC NA CIEBIE.

ARTWORKTEE.COM

TWILIGHT POPEŁNIA KRÓLOBÓJSTWO AUTOR: ARTWORKTEE

NIE WIERZĘ, ŻE TEN NOTATNIK
KOSZTOWAŁ TYLKO MONETĘ!
SPRZEDAWCA Z EMOCJI MAŁO
NIE ZSZEDŁ NA ZAWAŁ.



CÓŻ, CZAS NAPISAĆ COŚ
O DZISIEJSZEJ LEKCJI.



DROGA KSIĘŻNICZKO
CELESTIO...



HNNNNNNG!

ARTWORKTEE.COM

